

# Pielgrzymka do Jasnej Góry



WŁADYSŁAW REYMONT

# Pielgrzymka do Jasnej Góry

WRAŻENIA I OBRAZY

*Czucie i wiara więcej mówi do mnie  
Niż mędrca szkiełko i oko...*

*Mickiewicz, [Romantyczność]*

5 V 1894 r.

## PRAGA — KOŚCIÓŁ

Idę wyekwipowany jak można najskromniej; długie buty, jakaś sędziwa okrywka, płaski kapelusz i parasol nie odróżniają mnie zbytnio od tłumów zgromadzonych na placach i drogach przed kościołem. Nikt zresztą na mnie uwagi nie zwraca, wszyscy są zbyt zajęci przygotowaniami do wyruszenia w drogę i spoglądaniem na zachmurzony horyzont. Deszcz tnie drobny, ale mimo to wielkiego skłopotania nie znać na twarzach. Gwarno wszędzie jak w ulu. Przeciskam się na cmentarzu z trudnością i widzę z zadowoleniem, że nie ma wcale welonów, surdutów ani kapeluszy. Sam szczyry lud. Twarze są proste, czarniawe od skwarów, rysy zgrubiałe, ubiory szare — i widzę przez oczy tego tłumy, że ma duszę napiętą jakimś niezrozumiałym dla mnie uczuciem. Mieszam się z nimi, wchłaniam setki rozmów, twarze niezliczone i ta szarzyzna pospolitości, ten gwar jarmarczny przejmują mnie nudą i zniechęceniem. Czuję się ogromnie obcym i osamotnionym w tym tłumie. Chciałbym się nawet poddać tej fali ludzkiej, byle wyczuć ten prąd, jaki ją musi przenikać — ale nie mogę... I gdy tak stoję, przystępuje do mnie jakiś chłop w szarej sukmanie, z różańcem na szyi i twarzą kwadratową.

— Pan także idą? — pyta.

— Idę; idziemy razem.

— To niby z nami?

Odpowiadam mu twierdząco i chcę go wciągnąć w pogawędkę, ale chłop milknie i odchodzi. Znowu stoję i nie wiem, co z sobą zrobić. Do kościoła ani marzyć się dostać, przejście wprost zagwożdżone ludźmi, słyszę tylko śpiewy i głos organów, a potem dochodzą mnie słowa pojedyncze kazania; spazmatyczne a krótkie fale płaczów przelatują jak wichry.

Ksiądz ma przemowę do odchodzących.

Wszyscy klęczą z odkrytymi głowami w jakimś biernym poddaniu i ze skupieniem słuchają.

Szare niebo nie przestaje siać deszczykiem a grozić ulewą; to mnie przede wszystkim pognębia, że już i nie słucham, i z niezbyt wielką przyjemnością przypatruję się rozkwitającym bzom i czerwonej młodej zieleni kasztanów. Wreszcie zrobiło się zupełnie cicho i ten tysięczny tłum zaczyna z wolna odpływać cienkimi strumieniami.

I gdyśmy tak szli rozsypani, to na tle mostu, na tle zieleni parku, na tle miasta rozłożonego z drugiej strony Wisły, te szare, drobne i twarde sylwetki ludu, te profile ostre, twarze szorstkie i grube, postacie kwadratowe, pozginane nieco pod tobołami, obwieszane sznurami różańców, miały w sobie jakąś moc i namaszczenie ogromne.

Krzyż brązowy, obwieszony wiankami róż papierowych, kołysał się na czele orszaku w mętnej, zadeszczonej atmosferze. Gwar miasta dopływał zgiełkliwą falą, dzwonki tramwajów były raz po raz, turkot wozów brzmiał głucho, kominy fabryk rozwłóczyły nad miastem strzępy mgieł, a tam w dole szarawo-żółta toń z pluskiem biła o przyczółki mostu. Wszędzie wrzało życie pośpieszne, czynne, wysilone, życie miasta; walka o byt i o uciechę.

I gdy tak w myśli zestawiam, spostrzegam wysuwający się spod wiązań mostu jednokonnny karawan z niebieską trumienką na szczycie, za nim jedną, jedyną kobietę; trzyma się ręką sukna i idzie jakimś automatycznym krokiem, z głową opuszczoną na piersi... Przemknął mi wnet jej profil suchy, przegryziony bólem, a pomimo tego długo widziałem jeszcze ten surowy rysunek ust zaciśniętych, tę czerwoność opuchłych, zapłakanych źrenic, i ten cały wyraz boleści, jakby skamieniałej.

Uczułem jakiś niepokój ciemny i niewytłumaczony znużenia wewnętrznego, ale patrząc na tych gapiów trotuarowych, co bandami stają i przeprowadzają nas głupio ironicznymi spojrzeniami, na tę wstrętą tłuszcę drwiącą z idących, poczułem szaloną ochotę spoliczkowania jej — ale musiałem ścierpieć. Liczyłem okna, latarnie, byłem nawet w stanie przyglądać się architekturze nowych domów warszawskich przez pięć minut, próbowałem obliczać ilość obrotów koła dorożki, byle nie widzieć tej stłoczonej, miejskiej zgrai.

Kiedym przechodził rogatki, tom posłał Warszawie tylko jedno, ale szczere słowo:

— Nareszcie!... Chociaż na dziesięć dni...

## OCHOTA

Jest to sobie kilkanaście domków brudnych i odrapanych srodze, jakby wysilano się umyślnie, aby stworzyć rzecz brzydką aż do obrzydliwości.

Tu już gromadzą się wszyscy pątnicy i łączą w kompanie. Czekaliśmy z godzinę, nim się pościągali. Wozów idących z rzeczami i ludźmi jest 76. Mój furman, który się podjął mnie nawet zawieźć do miejsca za 10 rubli, zabiera mnóstwo tobołków. Płacą od zawniątki po 30, a najwyżej po 50 kopiejek za całą drogę. Zapłaciłem frycowe<sup>1</sup>, bo się teraz dowiaduję, że można jechać z rzeczami za 3 ruble. Wozy stoją wyciągniętym sznurem z boku szosy, a ludzie porozkładali się obok krzyża, gdzie kto mógł. Karczma przepelniona, ale właściciel chodzi kwaśny.

— Ruch ogromny, narodu jak śledzi w beczce! — mówię mu dla zabicia czasu.

— I! Panie kochany: praska kompania to same chamstwo<sup>2</sup>. Herbatą się szprycuje hołota!

— Wolalbyś pan warszawską?

— Czy bym wołał! Panie kochany, przez godzinę 50 antalków piwa, milion wódek! — woła z uniesieniem i tłuste policzki napływają mu krwią miłego przypomnienia.

Nie słucham więcej i wychodzę, bo pod krzyżem ma przemowę starszy brat, ten, co prowadzi pielgrzymkę i ma najwyższą, bo decydującą władzę nad wszystkimi.

Stoję tak daleko od niego, że prawie nic nie słyszę. Widzę tylko płową czuprynę, twarz szarawą i gestykulację jakąś tragiczną; musi mówić głośno, dobitnie, i trafia do serc, bo chwilami przelatuje szmer westchnień, tłum się zakolysze, jakiś jęk się zerwie, to oderwane dźwięki płyną — i znowu stoję w ciszy, zaszuchany w falowanie tego morza ludzkiego...

I stoją tak kupą wielką, w obramowaniu nędznych domostw i suchotniczej, zbrudzonej roślinności — sami nędzni, pokrzywieni ciężką pracą, zmiętoszeni niby łachman codzienną, twardą nędzą, pookrywani zaledwie. Słońce blade światło jakby przez sito rozlewa po odkrytych, konopiastych, zwichrzonych i rzadko czesanych grzywach, a zimny wiatr zawiewa z boku i szczypie ich chłodem po bosych nogach. Patrzę na nich i pytam siebie: co im każe rzucić dom, dzieci, gospodarstwo, zarobek, zawsze pewną miskę kartofli, łóżko i pierzynę i iść mil kilkadziesiąt o suchym chlebie, sypiać po drogach, znosić trudy niewypowiedziane życia koczowniczego?... Cóż to jest za siła, która ich porywa z gniazda i rzuca w różnorodny, taki sam tłum, i wlecze, i odprowadza? ...

Chłop

<sup>1</sup>frycowe — strata poniesiona z powodu popełnionego błędu. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>chamstwo (daw.) — pogardliwie określenie chłopów. [przypis edytorski]



Jeszcze sobie nie odpowiedział<sup>3</sup>, a tłum się już zakołysał, poruszył do odejścia i zaśpiewał donośnie: „Kto się w opiekę odda Panu swemu!...”

No i już idziemy, naprawdę idziemy białym szlakiem szosy, wskroś wielkich pól oznaczonych kominami. Wiatr targa włosami i powiewa białym woalem jakiejś „siostry” niby sztandarem. Długi, zlewający się aż pod Raszynem w czarniawą masę, szereg topoli o czerwonych młodych listkach szepcze gałązkami. Ptaki uciekają przed nami w pola, a wystraszone skowronki spadają niby kule w zboża zielone i milkną. Chłodno jest, niebo szare, pełne — niby góry śniegowe spiętrzonych obłoków. Spokój jest coraz większy, bo coraz dalej jesteśmy miasta, tylko pieśń go mąci szerokim rytmem i rozbrzmiewa echami po zieleni zbóż:

Na lwa srogiego bez obawy wsiedzisz,  
I na ogromnym smoku jeździć będziesz...<sup>4</sup>

Śpiewają wszystkie piersi i wszystkie serca zdają się kłaść całą wiarę w te słowa, i wszystkie dusze zdają się chwiać i zlewać z sobą w tej szerokiej, pełnej niezmiernie mocnych dźwięków, pieśni trzystoletniej.

— To to jest cementem, który ich spaja i jednoczy — myślę, przepatrując twarze.

Chciałbym znaleźć twarz jaką znajomą. Nie ma nikogo. Pieśń ta ogólna, razem śpiewana, kończy się. Starszy brat intonuje inną, ale równocześnie zaczyna brzmieć dziesięć co najmniej śpiewów o odrębnej melodii. Teraz widać, że to olbrzymie ciało nie ma głównego i jedyne go środka: ma ich kilkanaście; widać setki gromad, idą swojacy przy swojakach, parafiami, wsiami, ba! nawet powiatami i zawsze się ktoś wysuwa na czoło, rozkłada książkę i intonuje pieśń nową. Powstaje z tego taka kakofonia, taki galimatias srogi, że słuchać niepodobna; lament tych głosów tworzy okropnie brzęczący wir, który bije niemilosiernie o mój słuch niby jakiś ostry i chrapliwy klekot. Wyprzedzam — i idę o jakie pół wiorsty naprzód, a spostrzegłszy tu „siostrę” woalową, jak w białych ciżemkach spaceruje tęgim klusem, dopędzam ją i z kapeluszem w rękę pytam się o coś.

„Siostra” dragońskim głosem i ze staromiejską słodyczą prawi mi impertynencje. Kłaniam się i odchodzę, ale zaraz przystępuje do mnie jakiś „brat praski”, owinięty w drelichy, z sakwojazurem przez ramię, z manierką na wódkę z jednego boku, a z garnuszkiem z drugiego, i pyta, ochryplym od pożegnań prawdopodobnie, głosem:

— Brat do Częstochowy?

— Tak, panie.

— Pójdziemy razem.

— Idziemy przecież wszyscy razem — odpowiadam, z zajęciem przeglądając jego twarz, doskonale poznaną śladami przyjacielskich rozmów.

— Brat pewnie z Warszawy?

— Tak, panie, z Warszawy.

— Niech brat sobie w nos schowa to „panie”! Tu są wszyscy bracia i siostry — mówię energicznie, a wreszcie zapytuje bez wstępu:

— Brat jakiej profesji?

Zachłysnąłem się trochę, ale jakoś udało mi się nie odpowiedzieć, a on obejrzał starannie moją okrywkę, torbę przy boku pomacał, dotknął się butów i nóg moich.

— Nie dojdzie brat. Z takimi nogami to można się kazać na Pradze przetopić i odwiźć do Warszawy, ale nie iść do Częstochowy!... Paliwa<sup>5</sup> dużo brat niesie?... A fajgla<sup>6</sup>?

Podał mi spiesznie cygaro. Obciął zębami, zapalił, wciągnął masę dymu w płuca, wypuścił i jakoś miękko rzekł:

— Co najmniej — dychowe! Ho! ho! Brat musi być nie byle profesjant<sup>7</sup>!

<sup>3</sup>Jeszcze sobie nie odpowiedział (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „jeszcze sobie nie odpowiedziałem”. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>Na lwa srogiego bez obawy wsiedzisz, I na ogromnym smoku jeździć będziesz... — fragm. Psalmu 91 w przekładzie Jana Kochanowskiego. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>paliwo (pot.) — tu: tytoń papierosowy. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>fajgla (daw.) — ruble. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>profesjant (daw.) — profesjonalista. [przypis edytorski]

Przełożyłem zdenerwowanie nad możebne<sup>8</sup> zniknięcie paliwa i owych fajgli, więc się łączę z kompanią. Ogromnie prędko idą. Kto śpiewa, to śpiewa, a reszta gawędzi z cicha. Słyszę najrozmaitsze szczegóły o gospodarstwie, wsiach; ceny zboża zdają się ich najwięcej interesować. Na wszystkie strony krzyżują się zapytania: „Skąd brat? Skąd siostra?”. Przeciągły śpiewający akcent miękki — dominuje. Widzę głowy twarde, czoła niskie, profile jakby dzikie, a spojrzenia niezmiernie jasne, o dziecięcym wyrazie. Spoglądają na mnie nieufnie i, gdy się chcę wnieść do rozmowy — milkną i śpiewać zaczynają.

Maska

Odchodzę zły na ten głupi kostium, który mnie wyodrębni widocznie, i na tę kulturę, która tak mnie przypiłowała, że nie umiem znaleźć słowa ani pojęcia prostego i naturalnego, aby się nimi włamać do ich dusz. Próżno szukam twarzy i ubiorów innych; nic, tylko samodziały<sup>9</sup>, od krwistych-bordo aż do piaskowych. To morze głów męskich i kobiecych, w chustkach szarych, czerwonych, żółtych, pąsowych, tworzy ruchomą falę barw pierwiastkowych, zmieszanych razem. Dopiero pod Raszynem spostrzegłem z daleka trzy postacie, odrzynające się od tła jaskrawego, trzy głowy w słomianych ogromnych kapeluszach, okręcone białymi woalami. Szły razem i co chwila mi zapadały w gąszczu głów; tylko czasami, przez przerwy jakie się robiły w tłumie, spostrzegałem postacie wysmukłe i proste, ale wnet zalewała mi je fala ludzka.

Pragnąłem je odszukać i nie mogłem.

## RASZYN (PIERWSZY ODPOCZYNEK)

Kilka murowanych i srodze nadwerżonych domów, kościół, ogromna karczma, a z lewej strony masa drzew parku i stawy o modrych zwierciadłach stanowią wszystko. Kościół, tak ciasny przy naszej ilości, że nawet się nie staram dostać do wnętrza i obejrzeć. Trzy czwarte kompanii rozłożyły się przed karczmą i na szosie popasać. W karczmie tłok, a zaraz przy wejściu rzuca mi się w oczy taka scena.

O stół oparty, siedzi jeden z braci i zaczerwienionymi oczyma patrzy w sufit, a przed nim stoi drugi brat, chłop stary, o kędzierzawej czuprynie i rysach twarzy jakby wyciosanych siekierą. Rudawą kapotę ma ściśniętą zielonym, wełnianym pasem, nogi w skórzaniach, różaniec z mosiężnym krzyżem na szyi i obrazek w ręku. Odmuchuje oczy siedzącego, dotyka się ich palcami, robi jakieś pasy magnetyzerskie wzdłuż twarzy i w poprzek oczu, ślini je i rozciera, muska obrazkiem; następnie, kładzie dwie poślinione słomki razem z obrazkiem na jakąś skorupę i zapala. Okadzając tym dymem chore oczy, szepcze półgłosem zaklęcia i modlitwy o uzdrowienie, a gdy skończył ceremoniał, odsunął się nieco i z namaszczeniem, a głęboką pewnością wiary rzekł:

— Ty, bracie, wierz, że słowo Boże, słowo moje i chcenie moje — pomoże, to pomoże. Jak Pietrowi Pan Jezus powiedział: „Chodzi do mnie bez<sup>10</sup> morze...”, to on się wagował<sup>11</sup> i myślał, co spłynie we wodzie — i zaraz tyż poszedł na dno. A Pan Jezus go wyciągnęli za włosy i rzekli: „Cobyś był, Pietrze, mi dufał, co przejdiesz — to przeszedłbyś”<sup>12</sup>. To, bracie, modlij się, wierz, że zdrow będziesz za łaską Tej, Najświętszej Częstochowskiej, a zdrowy będziesz. Bo co my możewa, to możewa, a resztę Bóg może. Ament!

Cud

I ta reszta, przypatrująca się w skupieniu pobożnym, uderzyła się w piersi i głośno powtarzała:

— A resztę Bóg może. Ament!..

I była w twarzach taka powaga wiary i ufności w te słowa, takie poddanie się wielkie dusz pod tę moc, że mnie przeniknął dreszcz jakiś nieokreślony — i w mózgu zaczęły się kojarzyć obrazy z odległych czasów i krain — gdzie smutną przepaloną ziemią szedł Chrystus, a na Niego czekały rzesze nędz wszelakich, a On dotykał ślepych oczu, i ślepi widzieli; mówił umarłym: „Powstań!” i zmartwychwstawali, a te zbolale, uciśnione dusze jak kłosa schylały mu się do nóg i śpiewały: „Hosanna! Hosanna!”, a On odchodził smutny, jak był przyszedł i błogosławiąc, szeptał: — „Póki światłość macie, wierzcie w światłość”.

Wiara

<sup>8</sup>możebne (daw.) — możliwe. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>samodział — tkanina tkana na ręcznym krośnie. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>bez (gw.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>wagować (daw.) — wahać się. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Cobyś był, Pietrze, mi dufał, co przejdiesz — to przeszedłbyś — konstrukcja z użyciem czasu zaprzeczonego, inaczej: „Gdybyś mi zaufał, że przejdiesz, wówczas przeszedłbyś”. [przypis edytorski]

Na placyku gromadzą się już do odejścia.

Zobaczyłem pomiędzy wozami te trzy głowy, ale nim się przecisnąłem, znowu zniknęły w tłumie.

Po chwili idziemy.

Śpiewy brzmią tak samo i dźwięczą jakoś energiczniej, długa karawana wozów zamyka pochód. Idziemy gładką i dobrze utrzymaną szosą. Drzewa czernią się w dal szeregami. Obszary zieleni coraz większe. Figury i krzyże gęsto stoją, a przed każdym brat starszy zatrzymuje się — i jest jedna głucha chwila ciszy, aż raptem wszystkie głowy się chyłą, wszystkie kolana zginają i ze wszystkich piersi zrywa się pieśń holdownicza, i rozplywa nad polami.

Już zaczynałem czuć rodzaj ociężałości i zmęczenia, gdyśmy doszli do noclegu, a zresztą i słońce czerwona, rozwichrzona głowę schylało za lasy ociężałe...

## ŁAZY

Masa ta zalała literalnie wioskę. Nie było domu, stodoły, podwórza, gdzie by się nie tłoczyło kilkadziesiąt osób. I cały ten pobożny nastrój zniknął. Opatrywano sobie nogi, gotowano herbatę, dzielono się zapasami i rozmawiano swobodnie. Wszyscy tłoczyli się do izb i pod dach. Istny jarmark małomiasteczkowy z całym jego rozgwarem. Na wiosce znać bliskość Warszawy. Bo choć nie mogłem już nigdzie dostać noclegu, łąziłem po chałupach. Zauważyłem czystość izb niezwykłą i porządek. Prawie każdy dom ma porządną stancję wybieloną, są wszędzie stoły nakryte obrusami, serwantki do talerzy, niezłe wizerunki świętych na ścianach, łóżka wysoko zasłane okryte kapami, całe sufity i belki pułapowe ozdobione kokardkami i wstążeczkami z różnokolorowych papierków. Zimno jest porządnie i zaczyna mi się chcieć jeść.

Z trudem wszyłem się do jakiejś chałupy i wybrałem gorącego na wpeł z wodą mleka.

Usiadłem w piasku przydrożnym, bo trochę cieplej, i delektuję się mlekiem, a mrok się rozciąga nad zielonymi polami i przygłusza się z wolna wszystko. Czarna ściana lasu, stojącego nad szosą, mętnieje i zdaje się rozplaszczać. Kontury drzew, wiosek, wzgórz odległych, zdają się rozpiezchać i zlewać w cieniach granatowych. Cisza zapada coraz głębsza, czasami tylko konie rżą i parskają przy wozach, jakiś głos pojedynczy zabrzmiał albo ostatnia zwrotka pieśni nabożnej zadźwięczy od stodoł lub skrzeczenie chóralne zab nadplynie z łąk.

Mgły z wolna osnuwają szarością zimną i posępną przestrzenie.

Przyciszone, senne na poły szeptu pacierzy snują się pomiędzy domami jak błyski coraz bledsze, jak te ognie w chałupach coraz rzadsze, aż się wszystko rozprasza, przycisza, zatapia w nocy i odpocznieniu.

W izbie gospodarzy świeci się jeszcze. Idę tam ogrzać się trochę; na słomie kilka-naście sióstr, jedna koło drugiej są tak upakowane, że przewrócić się na drugi bok jest niemożliwością<sup>13</sup>. Śpią już wszystkie.

Niezmiernie gadatliwy ten podwarszawski naród: zasypują mnie bez końca pytaniami.

— Pan z famieliją<sup>14</sup>?

— Nie, sam.

— To i przez<sup>15</sup> żuny?

— Bez.

— Że to kobita puściła w drogę pana samego?

— Nie mam żony.

— Ale?! — rzuca krótkie powątpiewanie gospodyni.

— Naprawdę.

— Ale pan z Warsiawy?

— Tak.

— Tam to szyckie<sup>16</sup> panowie tak na pieskiego jak najdłużej przez żuny.

<sup>13</sup>niemożliwość (daw.) — niemożliwość. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>famielija (gw.) — rodzina. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>przez żuny (gw.) — bez żony. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>szyckie (gw.) — wszystkie. [przypis edytorski]

Chwila milczenia, a potem na wyścigi opowiadają mi różne kłopoty i sprawy.

Wreszcie gospodyni częstuje mnie kawą. Odmawiam, prosząc jeszcze o mleko i chleb razowy. Daje mi i mówi do starego z przekąsem:

— Widzisz, stary!... Bo to panie, mój się tak rozpuścił w ty Warsiawie, że razowego chleba ani w ząb, ino<sup>17</sup> mu muszę pytlowy kupować ciągiem<sup>18</sup>, a na mliko nie spojrzysz.

— Takie słodkości, jak mliko i razowiec, to mi już październem w gardle stoją.

I gadają dalej, ale mnie senność taka rozbiera, że idę do stodoły spać.

Znalazłem parę cali wolnego miejsca, okręciłem się cały w grochownicy i sam już nie wiem, kiedy usnąłem.

Śpię w najlepsze, gdy mnie ktoś trzęsie i woła:

— Bracie, trza się powstać.

To siostra obok śpiąca mnie budzi.

Przymykam oczy i opuszczam się w sen ociężale. Boże! Jakżeby spał jeszcze, ale zimno mnie przenika siarczyste i dzwonki ostrymi tonami dźwięczą, a przez szerokie szczeliny stodoły świt rzuca pasy światła. Rumor powstawań i ta świadomość, że iść trzeba, nie pozwalają mi zasnąć. Wstaję, i choć się trzęsę z zimna, idę w łączkę na drugą stronę drogi i pod wierzbami jasno-zielonymi w ciemno-modrej sadzawce czynię ablucję. Woda zimna jak lód, pali prawie, ale orzeźwia znakomicie.

Jeszcze ciemnawo na świecie.

Na wschodzie zorze ledwie się pyłą różami złotawymi, a drzewa, trawy, zboża — stoją w jakiejś ciszy sennej, przepojonej rosą i jakby nabrzmiewającej życiem. Jest niezmiernie świeżo i jędrnie. Las prawie jest czarny od zieleni wilgotnej i mroków, tylko wysmuklejsze wierzchołki rysują się jak koronkowe na perłowym tle poranku. Polami płynie szeroki powiew opalu roztopionego, fala świtu pełna czaru i siły; jakby wilgotny i wonny oddech ziemi budzącej się, a od domowstw dolatują mnie pienia kogutów.

Z wolna, w tę cichość porankową, w tę perłowość świtu, wlewają się coraz nowe tony — gwarów, rzeń, turkotów wyjeżdżających wozów, głośno odmawiane pacierze.

Gromadzimy się pod krzyżem. Twarze mają senne i posiniałe od zimna, ubiory wygniecione, ale oczy błyszczą jasno. Wyniosły chłop w kapuzie mniszkiej, nasuniętej na głowę, o ostrych ascetycznych rysach twarzy, podnosi krzyż ubrany już wiankiem świeżej zieleni, dzwoni i niskim głosem intonuje:

Kiedy ranne w stają zorze,  
Tobie ziemia, Tobie morze.

I ten tłum prosty podchwytuje pieśń sercami i śpiewa ją z uniesieniem, przepotężnie mocnym głosem:

Tobie śpiewa żywioł wszelki...

Płyną głosy szeroką falą ku tym zorzom złocącym już pół horyzontu, rozsypują się kaskadą nad tą ziemią szeroką, brzmią nad chatami, przenikają w łany zbóż i jakby rozpylone kołyszają się, i rozsnuwają w opalowej przestrzeni, dźwięczą w echach leśnych, w kwiatach sadów i jakby zasilone głosami przyrody wznoszą się hymnem pełnym mocy, i mówią o dobroci i potędze Pana, i rozpętane ze wszystkiego, co brudne, co nędzne, co przemijające — unoszą serca rzeszy nad światy. O, potężna to pieśń, potężna pięknem, jakiego jeszcze nie odczuwałem nigdy, i dopiero na tle tych cudów wiosny, jakie są dokoła, i przez takich śpiewana, wywiera czar niesłychany.

Słońce wzeszło i rozumiem wszystko i wyzląca.

Idziemy prędko, ale chciałoby się gdzie położyć w bruździe, w tych żytach kłoszących się, i chciałoby się tylko patrzeć w błękit, słuchać pieśni skowronkowych, szumu drzew i zatapiać się w tej mocnej pieśni, co teraz dzwoni niby hejnał radości. Piersi wdychają wiosnę, a oczy błędzą rozmarzone... Mijamy lasy aż kipiące od świegotu ptactwa, pola jak okiem sięgnąć przepysznie uprawne i zielone, wioski, gdzie jabłonie w różowych pąkach

<sup>17</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>ciągiem (gw.) — ciągle. [przypis edytorski]

całe, a grusze jak śniegiem obsypane kwiatami. Masy bżów dyszą wonią i stoją niby obłoki fioletowe. Jedenaście wiorst przechodzimy bez śladu zmęczenia i bez odpoczynku.

## TARCZYN, OSADA

Czworobok wypełniony przeważnie murowanymi domami. Czuję tu jeszcze Warszawę. Tablica na rynku powiada, że miasteczko ma 74 domy, a jakiś cicerone<sup>19</sup> miejscowy objaśnia mnie, że prócz wielu instytucji publicznych, Tarczyn posiada 24 szynki<sup>20</sup>, czyli co trzeci dom — szynk. Dostateczna liczba. Kościół, w jakimś bezstylowym stylu, wznosi na szosę ciężką fasadę. Nad boczną przystawką tworzącą rodzaj kruchty stoi kamienny Chrystus. Kościół wewnątrz bardzo skromny. Nad wielkim ołtarzem kolorowe okrągłe okno rzuca chmurę barwnego światła. A zresztą, nic do oglądania. Odpoczynek ma być kilkugodzinny, więc wychodzę poszukać co do zjedzenia.

— Bracie — szepcze mi jakaś siostra, tak zawołowana, że nawet kawałeczka twarzy nie widzę. — Nie wiesz bracie, czy już wszystkie wozy przyszły? Bo ja swojego znaleźć nie mogę.

Pytam się o woźnicę, o konie.

— Brunet wysoki, wóz w parę koni.

Idziemy szukać i znajdujemy, ale pokazuje się, że ów chłop ani brunet, ani wysoki, ani ma parę koni.

Na rynku na długich stołach obstawionych ławkami pełno samowarów blaszanych i parujących garnków poprzekładanych stertami bułek i chlebów.

— Bracia pobożne i siostry! Chodźcie na herbatę: dwa grosze bez cukru, cztery z kremem. Chodźcie ludzie pobożne na barszcz świeży i kapuśniak gorący! — wołają przepkupy.

Siadam obok studni do gorącego barszczu na kielbasie z kartoflami. Pomimo, że go czuć tylko trochę starym kaloszem, smakuje mi ogromnie. Zapłaciłem 16 groszy za to śniadanie. Siostra jakaś obok piła herbatę i wysupławszy ze szmatki szóstkę, bije nią w stół i targuje się do upadłego.

— Cztery grosze szklanka herbaty! Loboga i za co to tyła pieniędzy! Troszkę wody, zdziebko cukru i cztery grosze. To we Warsiawie płaciliśwa ino po piątku, ale dobro była, bo i słodziutko i jaże czarno.

— Na odpust siostra idzie, a targuje się niby na jarmarku — mówi sprzedająca.

— Odpust odpustem, a co zdzierstwo, to zdzierstwo. Hańdryczyta<sup>21</sup> kiej<sup>22</sup> Żydy! — woła dobitnie, ale płaci i odchodzi.

Nadchodzi cała gromada sióstr wiejskich, przeważnie młodych i brzydkich, obsiada studnie, rozkłada tobołki, wyciąga chleby, i posilają się jedne, a inne myją się, czeszą, robią rodzaj toalety<sup>23</sup>. Ta siostra woława, która siedzi naprzeciw mnie, czerwieni się ze złości i syczy:

— Co za chamstwo obrzydliwe, na środku rynku się rozbierają! — i pluje z obrzydzenia.

— Kiedy siostra taka pani, to czemu idzie z chamstwem? Trza było poczekać na szlachecką kompanię — mówi spokojnie jakaś starsza.

— Że my chłopcy, to każdy wi, ale co jest siostra, to ino niektóre wiedzą — dorzuca znowu któraś, ale już z góry i ostro.

Wynoszę się, bo mi wstyd po prostu za ten woal.

Spotykam te trzy welony tajemnicze; idzie z nimi jakaś starsza kobieta o bardzo szlachetnych i smutnych liniach twarzy i chłopczyk może dziesięcioletni.

Otoczyły ich kobiety i wołają z podziwem:

— To i to dzieciątko ochfiarowało się do Częstochowy, i piechty idzie!

I błogosławią mu głośno:

<sup>19</sup>cicerone (daw.) — przewodnik. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>szynk (daw.) — karczma. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>hańdryczyć się (pot.) — sprzeczać się. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>kiej (gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>toaleta (daw.) — toaleta. [przypis edytorski]



— Ażebyś dziecko kochane urósł, aby ci Najświętsza Panienska wszystko najlepsze dała, kiedy do Ni idziesz, robaku<sup>24</sup> kochany!

Chcę się przyjrzeć z bliska choć przez zasłony tym siostram, ale mnie zatrzymuje:

— Bracie serdeczny!

Odwracam się i spostrzegam twarz młodą, ale tak czarną i zmizerowaną, tak przegryzioną jakimś cierpieniem, że zostały tylko rysy i wyraz opuszczenia beznadziejnego w dużych, jasnych oczach.

— Ty bracie z nami?... Do Częstochowy? — pyta się, a ja z rozkoszą słucham jej śpiewnego głosu i widzę, że z trudem gryzie czarny i zeschnięty chleb.

— Tak. Siostra chora? — pytam się, widząc, że się ledwie porusza.

— Toż nic. Matka Boska wyzdrowi, ja się Jej ochfiarowała i idę aż spod Łomży. Ja cię, bracie serdeczny zatrzymała, co byś mnie poratował. Mnie na Pradze złe ludzie wzieni 15 rubli. To zły mnie tak podchodzi. Nic, nie zaklęła nawet, pomodliła się i idę, dobre ludzie pomogą, cobym doszła, brata proszę, bo chamstwu wstyd powiedzieć, człowiek do Paniunki Najświętszej może się poniewierać i giąć, ale przed chamem niehonor.

Dałem jej, co mogłem, bo byłem przekonany o jej istotnej potrzebie.

Nieźle już odróżniam szlachtę zagonową od chłopów i od tej garstki z Pragi. Chłopi idą zawsze kupą, rozkładając się na największym słońcu i bezładnie, mają rysy grubsze, ale mniej zmęczone. Szlachta skupia się koło wozów, zajmuje ławki przy stolikach, szuka cieniów, wybiera drogi lepsze, ciszej mówi; są dyskretniejsi w różnych funkcjach i mają w twarzach, przeważnie regularnych, jakąś cichość i godność zamkniętą w sobie.

Noszą głowy wyżej i mają wygórowaną świadomość kastową.

Pracy — poszukują najpierw szynczków<sup>25</sup>.

Poznaję te twarze zmięte, rysy niespokojne, spojrzenia buńczuczne. Krzyczą głośno i starają się wszędzie trzymać prym. Dopiero dzisiaj spostrzegłem te ogromne różnice pomiędzy nimi i te antagonizmy ciche na każdym kroku. Chłopi, a szczególnie łyczkowie miasteczkowi, pokpiwają sobie z braci szlachty.

Ach, ci łyczkowie! Wszędzie są, wszystko wiedzą, wszystkim dają rady i wszędzie węszą zarobek. Wszystkie wozy do nich należą. Pochodzą ze Stanisławowa, Radzymina i Nowomińska. Przeważnie jadą dla zarobku. Są tacy, którzy po cztery razy przez lato jadą do Częstochowy i zarabiają na czysto po 30-50 rubli.

Kiedy te słowa notuję, siedząc na jakimś wozie, przychodzi dwóch Żydków i najspokojniej ogląda mi buty. Ciekawym, co z tego będzie, aż jeden mówi:

— Wielmożny pan nie dojdzie do Częstochowy. Zelówki koniecznie trza nowe, za godzinę się zrobi i tylko rubla kosztuje — i zaczyna mi ściągać but.

— Idźże do licha! — mówię mu słodko za jego troskliwość.

— Ajaj! Takie paskudne słowo. Jak pragnę sumiennie, co by wielmożny pan doszedł do Matki Boskiej, tak pan nie dojdzie; zelówki ma pan jakie! Co to jest? To jest papier, co to papier? — bywała rozmoczona! Czy wielmożny pan myśli, co to taki spacer po Saski ogród?

Ja się tutaj nic nie odzywałem, a on kończy rozgniewany:

— No! Nie chce? To będzie szedł przy butach, nie w butach — i odszedł.

Słońce zaczęło tak przygrzewać, że trudno było wytrzymać. Wyszukałem sobie schronisko w jakimś szynku i poszedłem spać.

O drugiej po południu wyszliśmy do Grójca, 12 i pół wiorst. Słońce praży okropnie i taki kurz, że po kilku minutach mam go pełne usta. Zostają trochę w końcu, aby przejrzeć wozy. Okolica, przez którą przechodzimy, pofalowana wzgórzami, grunta nieźle i wszędzie zieloność wspinała. Wsie zaledwie się bielą ścianami przez sady i zboża rozrosłe.

Na wozach kilkanaście starych kobiet, którym sił zbrakło, i chorzy jadący na odpust prosić o zdrowie. Siostry witają mnie słowem bożym i rade gawędzą. Jedna z nich szczególnie pociąga moją uwagę. Jest bardzo stara, zwróciła na mnie niezmiernie pomarszczoną i przejrzystą jak wosk blichowany twarz i pyta:

— Brat z nami? — i świdruje mnie cudownie fiołkowymi oczyma.

<sup>24</sup>robak (daw.) — tu: biedactwo. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>szynczek (daw.) — zdrobnienie od szynk, karczma. [przypis edytorski]

— Tak. Cóż to, siostra iść nie może? — pytam.

— Dwadzieścia już roków nie chodzę. Pan Jezus chciał, tak cóż robić! A przede śmiercią zechciała zobaczyć Panienkę Najświętszą, poprosić o letkie skonanie i prędkie.

Łzy zaszkliły jej źrenice.

— Dlaczegoż o prędkie?

— Bracie, mnie już czas. Sto i dwa roki przeżyła. Na Gromniczną mi się skończyło. Zachciałeś, bracie, cobym dłużej żyła, kiedy mnie tęskno do swoich.

— Siostra sama, bez dzieci?

— Miałam bracie, miałam. Ośmioro tego było. Chłopcy jak wojewodzice, dziewczyny to i starościańskie ładniejsze nie były. Ot, przeszło wszystko, została sama jak kokosz. Piskłeta moje wziął i człowiek, i mór<sup>26</sup>, i Pan Bóg. Dwadzieścia lat sieroténka ja. Ani mnie wnuków, ani rodziny żadnej, jak ten palec... Cóż mnie robić na świecie?

I patrzała po zbożach, co się roztaczały obszarem wielkim, co się kłaniały młodymi kłosami, po wiśniach przydrożnych, z których wiatr ostatki kwiecica strząsał na jej srebrne włosy, po błękitach niebios. Wsłuchiwała się w śpiewy braci idących przed nami, w te jakby przyblakłe tony, co się lały w świat strumieniem coraz przejrzystszym. Nie śmiałem przerwać tej zadumy, bo mi się wydało, że ona widzi przed sobą tych wszystkich swoich, że rozmawia z marami i jakby błogosławi wszystkiemu zamierającym jestestwem.

— Pięknice tu u was bracie, i naród zbożny i ziemia złota... W Częstochowie nie była jeszcze... Przez pięć roków, choć kaleka, przędła i składała grosz do grosza, cobym tylko mogła jechać do Najświętszej. Ot — i dała mi Paniénka święta doczekać i tak się zapomódz, co Jej mogła jeszcze kupić koralu. Sto złotych za sznur dała...

I mówiła tak długo, a jam milczał, bo mnie ogarnęło rozmarzenie, bo mnie przejmowała melancholia tragiczna tego życia tak długiego i tak samotnego, i ta jej wiara, i ta jej moc niepożyta, urągająca czasom i ludziom.

— Mnie bardzo tęskno. Ludzie poszanują, pohonorują, ale ja dla nich nie ma, bo ja ostatnia z tego świata, co już dawno umarł — ostatnia. Umrzeć mnie już pora, bracie.

I znowu zapadła w zadumę sędziwą, a ta jej czcigodna głowa, okryta bujnymi włosami, zwisała na piersiach i fiołkowe oczy zwarła w drzemce.

Odszedłem, aby jej nie zbudzić i utonąłem w gromadzie.

Upał jeszcze się potęgował, po twarzach i karkach braci pot spływał strumieniami, a oczy zaczęły płonąć gorączką zmęczenia. Szosa podnosiła się precz w górę, aż do Głuchowa, jakiegoś bardzo ładnego folwarku. Stamtąd szła już trochę wykopem i zaczynał się spadek. Szedłem ścieżką biegnącą szczytem wykopu, pod osłoną olbrzymich krzaków ligustu. Wtem krzyk ogromny, krótki, przeleciał jak piorun i cała ta różnobarwna rzesza idąca niżej rozpadła się literalnie na dwie połowy, a środkiem, z góry czarny koń zaprzężony do długiego wozu leciał na oślep, mały tylko chłopak wstrzymywał go jak mógł, ale zwierzę rozszalałe, ze wściekłą siłą zestrachania roztrącało tłum i tratowało. Piorun ani burza nie rozwała tak drzew, jak strach rozsypał tych ludzi. Zrobił się odmęt pełen rąk wzniesionych, głów pochylonych, twarzy posiniąłych strachem nagłym i ciał padających pod konia, staczających się do rowu, biegnących w pola, i słyhać było tylko jeden jęk podobny do ryku, a nad tą masą drgającą w skurczach, splątana — to czarne zwierzę w popłochu biegnące po rozplaszczonych ciałach. Przejmujący potęgą obraz.

Zatrzymano konia, gdy już wyminął kompanię i roztratował cztery kobiety. Szczęśliwie się skończyło, bo mogło tak samo być czterysta. Zabrano pokaleczone na wóz i odwieziono naprzód do Grójca, do doktora. Płacz się powszechny rozlegał, cień smutku omroczył wszystkie dusze i ścinał je żalnością. To też, gdyśmy ruszyli dalej, pieśni nie brzmiały tak radośnie, czuć było w głosach łzy i cierpienie.

Wyprzedziłem wszystkich, bom ujrzał z daleka grójecki kościół. Jest on bardzo mały. Kiedym wchodził po wzgórzu, na którego szczycie stoi, zobaczyłem te trzy woale rysujące się na tle starej, drewnianej dzwonnicy; widocznie jeszcze prędeż przyszły. Na cmentarzu i przyległym skwerze pełno było ludności miejscowej oczekującej na nas.

W kościele chłód mnie owionął dobroczynny i mrok, ale nim miałem czas przyjrzeć się czemu, już nasi nadchodzili. Starszy brat z krzyżem szedł na czele, a za nim zbitym rzędem, krokiem i z siłą ogromną szli ci, którzy się mogli wcisnąć. Szli tak przez kościół

<sup>26</sup>mór (daw.) — dzuma. [przypis edytorski]

w milczeniu i z taką mocą, z takim twardym, bezwiednym wyrazem siły żywiołowej, że się usunąłem trwożnie.

Starszy brat krzyż oparł o ołtarz i cały ten las ludzi runął z głuchym łomotem na ziemię. Pył się podniósł z podłogi i jak złota mgła skrył się w pasach słońca i nakrył wszystkich niby obłokiem — a drugi pył szeptyanych pacierzy wzbijał się pod stropy kościoła.

## GRÓJEC

Bardzo przyzwoite miasto powiatowe. Ma tylko bruki tak spiczaste, że ledwie iść mogłem. Cukiernię znalazłem, ale nie było w niej herbaty.

— Może być piwo za to... — proponuje mi gospodarz.

Byłbym się zgodził na kwas siarczany, tak mi się pić szalenie chciało.

Zobaczyłem pierwszy raz gazetę od chwili wyjścia z Warszawy, ale dałem jej spokój, bo kosy w drugim pokoju tak się przeraźliwie darły, że musiałem wynieść się prędko.

Po godzinie odpoczynku wyruszamy. Mamy siedem wiorst do noclegu, a na świecie już czerwono i odleglejsze krajobrazy oblekają się w siność. Zmęczenie czuję dzisiaj znacznie większe; zaczynają mi się plątać nogi i wrażliwość na niektóre rzeczy mam jakos zaostrzoną. Głowa mnie boli, bo całą drogę trzeba iść z odkrytą głową, a parasol niezupełnie chroni od słońca i nie wszędzie daje się używać.

## BELSK

Z przyjemnością słucham, że tutaj zostajemy na noc, bo mi już sił zaczyna brakować. Jakaś siostra, miłosierdziem zdjęta, mówi, że ona już ma nocleg dla mnie i dla „delikatniejszych osób” zamówiony u kościelnego. Zgadzam się z radością, idę do kościoła. Ogromne kasztany obsypane kwieciami otaczają go wiankiem i trzymają jakby w ramie zielonej jego korpus wysmukły i ładny. Że nie mam sił tłoczyć się do wnętrza — na wprost drzwi kościelnych, w piasku drogi siadam, aby słuchać nabożeństwa majowego.

Widzę w ołtarzu obraz Wniebowzięcia Maryi Panny, a wprost zielonych listków gieranii czerwone kwiaty osłaniają ramy obrazu, bukiety bzów i narcyzów mienią się pomiędzy lichtarzami — a spoza tej wonnej osłony wynurza się jasna, pogrążona w zachwycie twarz Bożej Matki: ma taką słodycz w podniesionych oczach i taką dobrocią tchną jej usta rozchylone, iż patrzenie na tę jasną i czystą postać sprawia mi wielką przyjemność. Organy odzywają się jakąś przyciszoną melodią litanii, a świece złotymi punktami płoną coraz jaśniej, bo mrok opada z wolna i wlewa się w świat rozrózowiony zorzami zachodu. Lud zalega całą wolną przestrzeń, klęczy na drodze, pod płotami, w ogrodzie, na wprost kościoła, pod rozkwitłymi jabłoniemi.

Słowiki w sadach ukryte zaczynają swoje pieśni nocy i miłości — wylewają całe kaskady skrzących i niewysłowienie miękkich tonów, a organy brzmią cichą, uroczystą psalmodią, i lud śpiewa całą piersią w ciszy nocy nadchodzącej, opromieniony aureolą fioletowych refleksów, które miedziane zorze kładą.

Nic, tylko mieć czucia tyle, aby objąć i wchłonąć to piękno wszystkiego, co się widzi i słyszy! Dusza jakby się podnosiła ze znużenia i jakby na tych rytmach śpiewów, grania, pieśni słowicznych, woni i barw, rozwijała skrzydła, potężniała, rozszerzała się w nieskończoność i piła rozkosz i zapomnienie w tym źródle piękna. Wszystkie twarze jaśniejają, a wszystkie oczy utkwione w świętym obliczu, w tej mrocznej głębi pełnej złotego pyłu światła, rozsiewają blaski, a wszystkie serca zgodnie śpiewają. Czuję, jakbym się zlewał i łączył z tym tłumem obok klęczącym i płynął strumieniem jednym z nimi, w tej pieśni, która się teraz na zakończenie rozlega:

Dobranoc Ci, Panno Święta,  
Bez zmaży grzechu poczęta —  
Dobranoc!  
Dobranoc, wonna lilio,  
Niepokalana Maryjo —  
Dobranoc!

Piana tej pieśni i serdeczność dźwięków, i te odurzające wonie kwiatów, i tyle uczuć

Piękno

Piękno, Wiara

tętniących w tłumie — bije w moje serce i przenika je ekstazą. Nowy dreszcz, nowy i potężny. Klęczałbym na tym piasku, pod granatem niebios przetykanym srebrem gwiazd, wśród tego tłumy rozśpiewanego. Niech mi tylko nuć coraz ciszej: „Dobranoc, wonna lilio — Dobranoc!”. Niech mi tylko kołyszą duszę te brzmienia łagodne, te rytmy jakiegoś liliowego, te światła, co są dźwiękami, ta harmonia serc zjednoczonych u stóp Niepokalanej, co zda się odrywać od tła i z uśmiechem niezmiernym odpływać w przestrzeń wiszącą nad nami w ciszy.

I klęczałbym tak, bo zdaje mi się, że już zapomniałem o nędzach bytu — i rozpylony krążę w nieskończonościach błękitnych jak szata Tej, która odpłynęła przed chwilą, że już nic nie wiem — tylko czuję.

Musiałem się długo trzeźwić na rosie w ogrodzie jakimś, nim przyszedłem do równowagi.

Poszedłem na plebanie zobaczyć się z gazetami. Bardzo pocziwie przyjął mnie proboszcz miejscowy, ksiądz Grabowski, i na milej pogawędce przy herbacie zeszło nam coś do dwunastej.

Kiedym wracał, księżyc świecił, ale koło kościoła, pod kasztanami, panował mrok przesycony plamami światła i szczyty wieżyc połyskiwały srebrem.

Potknąłem się naprzeciw wielkich drzwi o jakieś ciało rozciągnięte na ziemi i słyszę cichy płacz.

Księżyc podniósł się wyżej i kładł przez gałęzie srebrne błyski na jej głowę pochyloną.

Cisza była głęboka dokoła. Sen roztaczał nad ziemią kojące ramiona — tylko płacz tej nieszczęśliwej brzmiał ostro, przenikał zimnem i jakby nabrzmiały głosem skarg, które się podnosiły z ziemi w tę noc miesięczną i cudną, roztopiał się gdzieś nad światem.

Nie spałem tej nocy. Leżałem na słomie w izbie kościelnej, przymykałem oczy, ale na próżno. Orgie światła, barw, dźwięków, akcenta płaczów przelewały mi się przez mózg w konturach jak mgły ruchomych i swoją zgłębliwością pokrywały jakąś ciemną robotę, która się przędła gdzieś pod linią świadomości. Kiedy brzask ubielił szyby i zaczął się wlewać mętnym światłem do izby, wyszedłem, aby orzeźwić. Czuję się niezmiernie zdenerwowany i chorym. Wszystkie stawy miałem jakby zrosłe, że nie mogłem wprost poruszać nogami ani rękoma.

A kiedy myję się w jakiejś kałuży, słyszę w izbie jakieś podniesione głosy siostr. Klócą się z ferworem.

— Siostra bez pacierza się kładziesz i bez pacierza wstajesz jak zwierzę!

— Co mi tu będzie siostra od zwierząt wymyślać! Niech mi lepiej grzebienia siostra nie rusza i koszyka nie obmacuje.

— Ja zaraz klękam i modlę się, żeby Bóg nie ukarał siostry za to, co teraz powiedziała.

— Siostra modlitwami nie zamydlisz oczu.

— „Nad grzesznicami zatwardziały mi litość, Panie” — szepcze, klękając u progu, a ta druga siostra, woalowa, rzuca się jak wściekła i krzyczy:

— Widzisz ją, faryzejka! Stara antyfona! Kratówka<sup>27</sup>!

Zostawiam niewiasty i zapłaciwszy za dach coś 20 groszy, wychodzę.

Zimno jest szczypiące. Mróz pobielł mostki i płoty, a na zbożach pochylonych i jakby we śnie cichych, siwieje gruba rosa.

Idziemy dosyć długo samymi ogrodami owocowymi. Szarość błękitnawa jest wszędzie. Później, znad stawów leżących po obu stronach drogi zwłóczą się z wolna mgły białawe i niby postawy mokrego zgrzebnego płótna w poszarpanych kawałach kołyszą się ciężko. Idę takim klusem, że po dziesięciu minutach jest mi już zupełnie ciepło. Kompania tak się rozwlekła, że przynajmniej na przestrzeni trzech wiorst widać precz ludzi i wozy. Idą skuleni i drżący z zimna, a zresztą ten trzeci dzień pielgrzymki daje się już uczuwać.

Godzina czwarta, a mnie się tak zaczyna jeść chcieć, że nie mogę dać sobie rady; zapasów żadnych nie mam, a karczmę, od samego Grójca, nie pamiętam, czy spotkałem. Próbuję paść się widokami, ale już nie patrzę, bo spostrzegam przechodzące obok te trzy zawoalowane postacie. Staram się co zobaczyć — ale na próżno. U najwyższej widzę tylko linie postawy piękne i chód powagi. Idziemy w ciżbie obok siebie, ale bez słowa.

<sup>27</sup>kratówka — tu: siostra żyjąca „za kratami” w klasztorze zamkniętym lub osoba często spowiadająca się przed kratami konfesjonala. Wszystkie wymienione określenia obrażają przesadną pobożność siostry. [przypis edytorski]

— Bracie, dokąd my teraz idziemy? — zapytuje mnie jakiś niski i rudawy brat.

— Nie wiem, ale może siostry-panie wiedzą? — zapytuję nieśmiało.

Trzy głowy robią trzy przeczące ruchy — i ani słowa. Brat zaś powiada mi, że zapisuje od samej Warszawy wszystkie miejscowości — i podsuwa mi pod oczy szarą książczynę zapisaną bardzo starannym charakterem pisma.

— Ładnie brat pisze...

Chłop poczerwieniał i z pewną dumą mówi:

— Nikt mnie nie uczył, a oprócz pisania i czytania, jestem znający się na stolarce, wóz tyż zrobić zrobię, i dom postawić postawię — a i bydło leкую<sup>28</sup>. Gazetę „Zorzę” płacę i czytam, a jenszy kurier tyż rozbiere. Nasz ksiądz namawiał nieraz, cobym napisał list o tym, co się dzieje we wsi — napisałem i ksiądz wysłał do gazety.

— I wydrukowali? — pytam zaciekawiony.

— Wydrukowali szycko, bracie.

I podnosi dumnie rozpromienione oczy i patrzy się na mnie słodko. Namawiam go, aby wszystko, co widzi i doświadcza, zapisywał, a jak wróci do domu — niech spisze i pośle do „Zorzy”.

— A czy ja bym, bracie, potrafił? — woła rozpromieniony i ma w twarzy olśnienie nagłe.

Staram się mu objaśnić, w jaki sposób on to potrafi.

— To pan pewnie jest jakim pisarzem z gazety? — mówi głośno.

Tu trzy osłonięte profile zwracają się trochę, że czują ich wzrok na sobie.

Przeczę i wyprowadzam go z błędu, jak mogę. Mówimy o czym innym, ale czuję, iż mój brat jest pomimo to onieśmielony, bo wciąż mi mówi „panie”. Opuszczam go i pozostaję w końcu kompanii. Słońce podniosło się już trochę i sieje złoto na jasną zielenią jęczmieni, wypija rosę ze zbóż, delikatne piórka prostują się z wolna, skowronki po polach śpiewają radośnie — a hen, po ziemi czarno-złotawej od blasków ciągną się pługi i błyszczą ostrzami, migocą jak srebrne błyskawice. Gromada bydła pasie się na łące, przeciętej strugą sinawej wody, i coraz to porykiwanie jakieś dojdzie, to głos fujarek doleci spod wierzb, co młodymi pędami strzelają w górę. Spokój jest tam ogromny i jakby smutek rozwłóczył się po polach od lasów zamykających horyzont. My tylko budzimy przestrzenie tą ciżbą swoją i pieniami ustawicznie brzędzącymi nad głowami. Kurz się znowu podnosił taki, że oddychać nie mogłem, i tak okrył i przesłonił wszystko, że co chwila czulem, iż uderzam lub depczę bosc nogi sióstr. Prawie wszystkie idą boso, reszta w pończochach obszytych płótnem na podszewie lub w łapciach. Mężczyźni przeważnie w butach i łapciach. Tylko prascy bracia paradują w kamaszach. Idę swobodnie, jakoś nie czując zmęczenia. Obok na wozie jakaś tęga rozrosła kobieta siedzi i śpiewa z książki, tuż przed nią śpiewają co innego: nie zważa, tylko jakimś dziwnym dyszkantem pieje, a spod budy wozu odpowiada jej głos męski o bardzo słabym i łagodnym brzmieniu; kobieta coraz to się odwraca i rzuca pytanie:

— Antoś, dobrze ci?

— Dobrze, mammo! — szepcze ktoś z głębi, i śpiewają dalej.

Zajrzałem pod budę. Młody, może dwudziestoletni chłopak leżał w pierzynie. Żółta twarz odznaczała się słabo od kolorowych powłoczek, śpiewał i suchymi palcami przesuwając ziarna różańca i patrzył przed siebie po polach.

— Antoś, dobrze ci?

— Dobrze, mammo.

Skończyli godzinki, matka z troskliwością niezmiernie delikatną obciska go pierzyną i patrzy mu pięściwie w oczy.

— Chory, bracie serdeczny, chory — mówi, spostrzegając mnie. — Jedziemy prosić Matki Najświętszej o zmiłowanie; może się zlituje nad sierotami...

— Mammo, co to jest to niebieskie? — pyta chory, wskazując kępę wczesnych chabrow w życie przydrożnym, i czarne oczy połyskują mu pożądaniem.

Zerwałem ile ich było i przyniosłem. Spojrzał na mnie nieśmiało i z pieszczotliwością dotykał ich ustami. Zdziwił mnie ten ruch, był za miękki na chłopską duszę. Spozregł to, bo się spojrział, i szepcze cicho jakby zawstydzony:

<sup>28</sup>lekować (gw.) — leczyć. [przypis edytorski]

— Tak lubię, że jak się dotknę kwiatka, to mi się aż słabo robi.

— Nie mów, Antoś. Jemu, bracie, doctory zabroniły mówić.

— Dawno syn chory?

A matka na odpowiedź mówi całą historię choroby.

— Dwa lata, bracie, jak ino wrócił z Brazylei<sup>29</sup>, tak się położył i cherla<sup>30</sup>, i cherla, i nawet mi schnie. Coby to zwierz abo i człowiek stawał moi sierocie na drodze, nie dałabym, jeno jak te ręce słabe mam — zdusiłabym. A tu człowiek musi patrzeć, jak mi zamiera, i nic poradzić na to, nic! Tysiąc złotych kosztują doctory i leki. Jeśli nas Najświętsza Panienska nie poratuje, to pomrzemy razem — bo nie zostanę sama, choćby nie wiem co, nie zostanę...

— Mamus, ty na moim weselu będziesz tańcować jeszcze — szepcze chory i głodzi dużą spracowaną rękę matczyną z jakimś smutnym pocieszeniem.

— Ja nie dawałam iść do tej Brazylei, u proga się kładłam, jak suka skomlałam, a nie — zachciał i poszedł. Po co jemu, bracie? Onże profesję piękną ma, stolarzem jest, grunt jako i domek po ojcu tyż, i mnie tylko jedyną, i poszedł za morze jak Żyd albo niecnota jaka, co tutaj już ludziom w oczy spojrzeć nie spojry.

— Bracie, jakie ładne — mówi chory, pokazując rozrzucone po polach grusze osypane kwiatem.

— Napłakała ja się, napłakała. Rok tam był i wrócił. To ja, bracie, z tej uciechy dur<sup>31</sup> miała w głowie, sprosiła sąsiadów, zabiła prosię, co mi trochę ssać nie chciało, ale wartało jeszcze ze trzy ruble, i wyprawiła bal, że to ha! Pamiętasz, Antoś?

— Pamiętam, mamó.

I znowu ten bladej uśmiech miłości i anemii wykwitł na jego ustach, ale matka zmienia nagle tok rozmowy i krótko rzecze:

— Nie mówili jeszcze, Antoś, do twojego patrona.

Rozkłada książkę i głośno czyta, a chory słowo w słowo powtarza, z tą szczególną uwagą i skupieniem suchotników.

Już miałem odejść, kiedy spoza mnie wyciąga się długa, rasowa ręka i rzuca choremu na piersi gałąź okwieconą gruszy i bratków błękitnych pęk. To jedna z tych trzech zakwieconych; była tak blisko, że przez muślin woalu spostrzegłem profil cudowny i błękitny błysk źrenic.

Snadź słyszała rozmowę naszą.

## ŁĘCZESZYCE

Odpoczynek krótki. Poklasztorny, o włoskiej fasadzie kościół stoi niedaleko szosy, prawie w zbożach. Skromny we wnętrzu, ot kościół oraczy, którzy z tych pól szumiących schodzili, klękali w zbożach, na drodze, i modlili się, mając krzyż przed sobą i te blade postacie świętych, malowane na ścianach, ale tak blade i uduchowione w wyrazach i w tonie, że zdają się być tylko widmami, które w południe unoszą się nad polami. Są to tylko pojęcia kształtów i ciał.

Gmach poklasztorny w ruinie. Otwory okienne niby orbity oczu puste i porozrywane, więcej smutkiem i ciszą. Po korytarzach kury krzekoczą i banda piskląt tarza się z piaskiem w piasku. Pod kościołem kilka wielkich drzew obumiera, dysząc resztkami życia. Po mszy, kiedy ksiądz od ołtarza zaczął przemowę do nas, syk przeciągły zatrzęsł kościołem.

— Opętane! — przebiegło po tłumie i zrobił się wokoło nieszczęśliwych istny wir, kłęb ciał targających się na wszystkie strony.

Przeprowadzono je obok mnie.

Ksiądz mówił dalej, ale ja wyszedłem. Przy szosie, w piasku, wiły się dwa ciała w kurczach. Podrzucały się jak w epilepsji, kręciły w kółko jak zwierz, gdy go paroksyzm wścieklizny napada, rwały na sobie ubranie, gryzły ziemię i kamienie — to przystawały na chwilę i z rykiem przeciągłym, okropnym, przewracały się na wznak, całe w drgawkach

<sup>29</sup>ino wrócił z Brazylei — tu: „jak tylko wrócił z Brazylili”. Pod koniec XIX w. miała miejsce masowa emigracja chłopów do Brazylili. Do wyjazdu nakłaniali ich pośrednicy, obiecując własny grunt i szansę dorobienia się. W rzeczywistości docierający do Brazylili chłopci musieli mierzyć się z nędznymi warunkami życia i licznymi chorobami wynikającymi z nieprzystosowania do tamtejszego klimatu. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>cherlać (daw.) — chorować, słabnąć. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>dur (daw.) — zamroczenie umysłu, odurzenie. [przypis edytorski]



i w pianie. Chwilę dyszały, błyskając przekrwionymi oczyma, wtem jedna rzuciła się do stojącego najbliższego brata, zdarła mu różaniec, wyrwała książkę i zaczęła szarpać i deptać nogami i wyc.

— Ot tobie świętość! Ot tobie Bóg! Ot tobie Maryja!... ha! ha! ha! — śmiała się jakimś wstrząsającym charkotem. — Głupie! Diabeł jest Bóg! Ja jestem Bóg! Ja jestem diabeł! — i zaczęła się znowu tarzać i skomleć krótko, czołgać na brzuchu i wyrzucać piasek nogami.

Jakaś zgroza przejęła wszystkich.

Stał ten tłum w milczeniu bezradnym, niby przygnieciony ciężarem niezmiernym. W twarzach był smutek, strach i zgnębienie. Przyginali karki, jakby spodziewając się bezwiednie, że może runąć na nich to jasne sklepienie niebios.

A opętane stanęły bez ruchu.

Zaczęły krwawymi oczyma spoglądać w twarze, oddychały ciężko i jakby się budziły, bo po twarzach przelatywały im jakieś błyski budzącej się świadomości, i stały tak chwilę w słońcu całe, we krwi i kurzu, z twarzami poszarpanymi, w strzępach szmat i z tym spojrzaniem, które wyrażało ból bezbrzeżny i rozpacz, i krzyk o ratunek — aż się tłum z wolna cofał przed siłą tego wzroku strasznego i skłębiał trwożnie.

Chłop jakiś wysoki, o bardzo szlachetnym i mocnym spojrzeniu, wyszedł z koła i przystąpił do opętanych, wziął je silną ręką za ramiona i przygiął do ziemi.

— Módlta się, bracia i siostry, za te nawidzone, módlta się! ...

Naród poklekał.

Zaszemrały pacierze i głos modlitw, westchnienia, jęki, płacz — zaczęły się zrywać i otaczały te dwie dusze jakby kołem harmonii i współczucia, mistyczną sferą hymnu i błagań. A on je trzymał zgięte i z powagą mówił:

— Mówta, siostry, za mną!

Zaczęły się rzucać, przycisnął je silniej.

— Jesteśmy dziećmi Maryi, wierzymy w Boga i prosimy o zmiłowanie. Wyrzekamy się diabła i myśli nieczystych.

— Jesteśmy dzieci Maryi i tak dalej. — powtarzały cicho i wolno z akcentami żalu targającego serca, aż te płacze ludu nabrzmiewały łkaniem i szlochem.

— I Ty się, Panie, coś jest i na niebie i na ziemi, i w gwieździe kuźdej<sup>32</sup>, i w kamuszczyku<sup>33</sup>, i w trawce najmniejszej, i wszędzie, zlituj się nad nami grzesznymi! — powtarzały coraz ciszej i coraz mętniej, bo łzy zaczęły im spływać po twarzach, i ciała zaczęły się trząść, i ręce zaczęły wyciągać ku słońcu, i już świadomością chwilową, głębią serc, krwią, — żebrać o zmiłowanie, o ratunek. I jakby się zwały te wszystkie serca w prośbie i w błaganii, bo ze wszystkich oczu płynęły strumienie łez, i jęk się rozlegał jeden, i modlitwy wybuchały coraz gorętsze, i coraz silniejszym akcentem brzmiały w tej ciszy słonecznej.

Nie było nic słyhać, tylko ten chór głosów rozplakanych i żebrzących zmiłowania.

Raptem zaczęła krzyżeć jedna opętana i zerwała się z ziemi, z ogromną siłą odepchnęła chłopca, aż upadł na plot. Ryczały znowu i miotały bluźnierstwa. Paroksyzm powrócił, ale trwał krócej. Wyczerpały się z sił prędko i upadły nieprzytomne. Zanieśli je bracia na wozy, których kilka szło w końcu, najętych kosztem całej kompanii.

Powiedziano mi, że te kobiety pochodzą z Lubelskiego, ale nie umiano bliżej objaśnić, niż że dopiero na widok nabożeństwa albo księdza „diabeł w nie wstępuje”. Zaczynają mi opowiadać dziesiątki wypadków podobnych. Nie słucham już, bo mnie w gardle dusi jeszcze płacz ludzi i te ich proste i szczerze prośby.

Pozwalam się wymijać ludziom i wozom, na których wciąż widzę to ślepych, to chromych, to sparaliżowanych, to dotkniętych niemocą, na którą już u ludzi nie ma lekarstwa. Przesuwa się ta karawana ciał i dusz okaleczonych, tak okropny teatr życia — jak sen pełen widziadeł dręczących.

Widzę i czuję przez te grube powłoki, przez wychudzone maski twarzy, mam prawie zupełną świadomość stanu ich dusz i ich cierpień. Widzę, że nie na spacer idą, wiem, po co idą. I moje „ja” sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórce życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem, stoi zdumione i niepewne wobec tyłu cierpień,

Wiara

<sup>32</sup>kuźda (gw.) — każda. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>kamuszczyk (gw.) — kamyczek. [przypis edytorski]

tylu trosk, tylu boleści... Widzę i czuję, że tu, w tym tłumie, nie ma prawie serca, duszy, głowy, która by nie nosła brzemienia niedoli, coby nie szła z ufnością i nie wierzyła, że skoro położy łyzy swoje przed Panią Najświętszą, skoro Jej wypowie ból swój, skoro otworzy serce zbolące i poprosi o ratunek i zmiłowanie — to wszystko to otrzyma. I coby robiły te wszystkie dusze, bóle, skargi cierpienia, nędze wszelakie, gdyby je teraz, natychmiast ogarnął mrok zwątpienia, i nie wiedziały dokąd iść, i nie wiedziały, w co wierzyć i komu się oddać w opiekę z tą bezgraniczną ufnością?

Ciemno mi się robiło i straszno w duszy na to przypuszczenie, i poczułem, że my jesteśmy jak te trzciny stawów, zeschnęły wśród lata i trzepoczące kiściami żółtymi nocom, słońcu, wiośnie: — „Umarło wszystko, umarło!” — a to tylko one pomarły, bo wszystko obok drga życiem, kwitnie, śpiewa — cierpi, lecz żyje. Zaciężyły mi te łyzy!

Dopędziłem braci i szedłem razem w tym upale niemilosiernym. Szosa przechodziła obok lasu sosnowego; żywica rozprażona ciepłem pachniała, aż piersi rozsadało, i młode listki brzoź wydzielały takie wonie, że cała kompania szła wolniej i ociężalej. Upał, cisza lasu, śpiewy, które się rozlegały po lesie echami, noc niespana i tyle wrażeń różnorodnych — obciążały mnie sennością i jakimś rozmarzeniem halucynacyjnym. Kurz zakrywał wszystko i kłębam bił nad las, że chwilami wydawało się, że te głosy powstają z ziemi, że to nie ludzkie są te śpiewy, które popłynęły rozdżazami leśnymi, poruszały korony drzew, młode paprocie i wsączały się w zięjące mrocznym chłodem głębie.

Zaledwie doszedłem na miejsce odpoczynku.

## MOGIELNICA

Mogielnica — to takie sobie miasteczko jak tysiące innych.

Przez sennosc nieprzepartą przypominam sobie dużo domów stojących szczytami do ulic, podsienia wsparte na kłocach rzezanych w kolumny. Kościół stoi za miastem na cmentarzu, tam poszli wszyscy, a ja, że już nie miałem sił, układłem się w cieniu lipy, obok stosu cegieł przygotowanych do budowy nowego kościoła, i usnąłem snem kamiennym.

Spałem coś trzy godziny. Obudziły mnie śpiewy odchodzących braci. Zjadłem coś naprędce w jakimś szynku i znowu w drogę.

Mamy przed sobą 13 wiorst drogi do Nowego Miasta nad Pilicą.

Okolice coraz falistsza i grunta mizerniejsze. Wsie biedne, domy niskie i brudne, rażą brzydota i opuszczeniem, roślinność znacznie uboższa. Zamiast topoli przy szosie, nędzne i rzadko posadzone wierzby. Lud jakiś chmurny, szczupły i szaro odziany, robi niezbyt przyjemne wrażenie. Znać na twarzach biedę. Nawet zieleń jest jakaś płowa, bo przez rzadkie żyta i owsy prześwitują piaski.

Pszeniczy ani źdźbła w polach.

O parę wiorst za Mogielnicą przechodzimy obok pastwiska, przepelnionego bydłem i stadami gęsi, bo jest nawet strumień pokrytej rdzą wody, o trzęsawiskach objaśniają kępy sitowi i kaczeńce żółte. Banda dzieci pasących rzuca się do nas i klęka nad drogą ze złożonymi rękoma. Wyciągają się ręce siostr z pieszczotą, ze skibką chleba, z kawałkiem cukru, a te wciąż klęczą; kiedy przechodzę obok ostatniej, której się najmniej dostało, ta łapie mnie za rękaw i żebrze cieniutkim głosikiem:

— Dajta mi, pobożny bracie, co!

Daję jej parę groszy i myślę, że wcześniej te dzieci są trenowane, bo to ma co najwyżej lat pięć — i przy oczkach niebieskich i twarzy ładnej i czystej wyraz niezmiernie sprytny.

Upał coraz większy, ale że droga dobra i sen mi dobrze zrobił, więc idę jako tako. Mniej rozmów słyszę i biadań, milczą lub śpiewają, upał nie usposabia do pogawędki.

Widzę te trzy woale, że idą z trudnością i prawie na samym końcu.

Wszyscy dzisiaj wyglądają popielato, bo twarze nie opalają się już od słońca — tylko sinieją i przybierają barwę szosy.

Kilka parasoli chwieje się nad głowami, ja swój ofiarowuję tym trzem woalom — i znowu ten łagodny ruch głów i milczenie.

— Nie warszawianki! — myślę sobie.

Bez parasolek umyślnie idą. Odchodzę, ale mnie zaciekawia ta ich tajemniczość i pogębienie ten profil najwyższej, spostrzeżony wtedy przez mgłę zasłony. Wydaje mi się teraz niby Izolda w tych zwojach muślinu.

Droga precz jest kręta i na różnym poziomie. Pod Nowym Miastem jest tak spadzi-  
sta, że polecono wozom zatrzymać się i jechać później, aby się ochronić od możliwego  
wypadku.

Nawet jadący na wozach, o ile są w stanie to zrobić, muszą schodzić.

Wciągnęliśmy się na drugi szczyt płaskowzgórza, i widać już Nowe Miasto i szeroko  
błyszczącą wstęgę Pilicy na lewo, a dalej, jak okiem sięgnąć, lasy i lasy. Aż mi się chłodniej  
zrobiło na myśl, że pójdziemy lasami, bo piekliśmy się po prostu w słońcu. Co kto mógł  
tylko, to zwłóczył z siebie i składał na wozach, aby iść było lżej. Nawet kilku z praskich  
braci ściągało dyskretnie w rowie kamasze z nóg.

## NOWE MIASTO

Kościół i klasztor ojców kapucynów taki sam zupełnie w stylu i wewnętrznym urządzeniu  
jak na Miodowej w Warszawie.

Na dużym rynku przed kościołem już masę stolików zastaliśmy i kipiące samowary.  
Kilka drobnych kompanii także odpoczywało.

Po obejrzeniu kościoła, niezmiernie czysto utrzymywanego i pełnego kwiatów na oł-  
tarzach — idę na herbatę. Przy sąsiednim stoliku lokują się woale; dwa się rozsloniły  
nieco, ale akurat nie z mojej strony. Ofiaruję im swoje usługi, bo po przeciągłym akcen-  
cie poznaję, że to nie warszawianki. Podziękowanie — ale nie korzystają z mojej ofiary,  
tylko za grzeczność płacą mi cytryną do herbaty. Jużci, że przyjmuję z wdzięcznością,  
staram się zawiązać rozmowę — nie idzie.

Trzydniowy pieszy spacer zrobił swoje, że nie wiem o czym mówić.

Poszedłem zwiedzić klasztor. W korytarzu pociągam za drewnianą, w formie krzy-  
ża rączkę od dzwonka. Otwiera mi jakiś kulawy chłopak. Pytam się o Ojca Prokopa.  
Prowadzi mnie na pierwsze piętro. Czystość wszędzie panuje zdumiewająca.

Trochę niepewny, stoję przed niskimi drzwiami, nad którymi wypisano: „J. S. V.  
Procopus”. Każę się pytać czy wejść można — i otrzymawszy twierdzącą odpowiedź —  
wchodzę.

Cela jest kwadratowa o białonych wapnem ścianach i prostej, sosnowej podłodze.

Widzę przede wszystkim ubóstwo i brak najpotrzebniejszych sprzętów. Prosty tap-  
czan, nakryty grubą szerszycianą derą, służy za łóżko i stoi pod ścianą, nad nim krzyż czarny  
wisi, i już nic więcej nie widzę, bo mi wzrok więzi starzec siedzący w niskim, drewnia-  
nym fotelu, pomiędzy dwoma oknami. Przenikać mnie się zdają duże, szarawe źrenice,  
o niezmiernie głębokim spojrzeniu, a ta długa, ascetyczna głowa, pobielona nieco siwi-  
zną, pomarszczone czoło i twarz surowa, jakby zastygła w zmarszczkach długich i ostrych,  
onieśmiela mnie nieco. Pierwsi cenobici<sup>34</sup> chrześcijaństwa musieli mieć ten sam wyraz  
ascetyzmu spokojnego i mądrości.

Przedstawiam się w kilku słowach. Następuje kilka chwil milczenia, w których czuję  
na sobie ten poważny i badawczy wzrok starca, a oprócz tego spostrzegam dwie wiel-  
kie księgi, oprawne w pergamin, leżące na stołku trzcinowym, i kilka kartek jakiegoś  
rękopisu, o bardzo ostrym i bujnym charakterze pisma, a potem słyszę przyciszony, ale  
melodyjny głos, zapraszający mnie bym usiadł.

Przysunąłem krzeselko i usiadłem na wprost.

Rozmowa, którą niżej przytaczam, nie jest literalnym powtórzeniem, lecz streszcze-  
niem; nie jest dosłowną co do formy, ale dosłowną w treści.

— Cóż tam w świecie słychać, coż w literaturze? Bo my tutaj echami się tylko kar-  
mimy... — pyta, a ja widzę, że ma bardzo miły i dobry uśmiech.

Opowiadam mu i mówimy o różnych kierunkach panujących w literaturze i nauce,  
i o tej reakcji na korzyść katolicyzmu i wiary, jaką czuć wszędzie.

— Musiało koniecznie przyjść do tego. Tym lepiej dla tych, którzy prędejsz przejrzą.  
Co to są za legendy o Matce Boskiej, które napisał pan Gawalewicz<sup>35</sup>?

Opowiadam treść niektórych, słucha uważnie i rzecze:

<sup>34</sup>cenobici — pustelnicy żyjący w zakonie. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>Gawalewicz, Marian (1852–1910) — polski dramatopisarz, powieściopisarz, publicysta, autor *Królowej nie-  
bios*, zbioru ludowych legend o Matce Boskiej. [przypis edytorski]

— Tak, to jest najczystsza, jaką znam, poezja uczucia. W tym się najlepiej wypowiada dusza ludu naszego. Bardzo rzeźwiący znużonych strumień...

I patrzy się przed siebie głęboko, a potem powraca do celu mojej pielgrzymki, o której mu zaraz z początku nadmienilem.

— Myśl bardzo dobra, tylko nie powinno się zrażać i sądzić tej masy z jej niektórych wybryków, nieuniknionych w takiej licznej podróży, z jej szorstkości, z grubych słów, i z prostoty obyczajów, ani z jednostek złych, jakie się wszędzie znaleźć muszą. Trzeba zajrzeć głębiej, w serca. Jakież dotychczas wrażenie pan wyniósł?

— Bardzo głębokie. Uwierzyłem przede wszystkim w ich głęboką wiarę.

— Jest tam wiara głęboka i serca niezepsute jeszcze zarazą. Są to najmędrsi z mądrych — wierzą. Nie pytają, nie wątpią, nie dociekają — tylko wierzą. W tym jest ich siła i szczęśliwość.

— Zazdrościłem im dzisiaj tej zdolności wierzenia i tej mocy, jaką czerpią z wiary.

— Nie tylko zazdrościć, ale płakaćby należało po takiej stracie — rzekł twardo.

Nie odpowiedziałem nic, bo mnie przesączać zaczęła gorycz jakaś.

— Naprawdę, to wy w nic nie wierzycie ani w Boga, ani w ludzi, ani w ducha, ani w materię. Oślepiłi się sami i krzyczą, że nic nie ma, bo oni nie widzą. O głupstwo smutne! Obląd zuchwały kretów!

— Ojcie — powiadam — czy ojciec myśli, że to bez śladu przychodzi? Że jest rozkoszą nie widzieć i nie mieć nawet myślą się zaczepić.

— Wiem i tym więcej mi żal cierpień poniesionych na próżno.

Przechylił nieco głowę i gładził nerwowo długą, srebrzącą się brodę, potem zażył tabaki z czarnej tabakierki z prześliczną emalią Wniebowzięcia Matki Boskiej na wierzchu i mówił długo, a kończył następującym:

— Źródło nieszczęść jest w nas, w rozumie naszym, a źródło spokoju i szczęścia tam! — i wskazał chudą ręką Chrystusa rozpiętego nad łóżkiem.

— Idźcie pić do źródła prawdy i dobra, a odzyskacie samych siebie, znajdziecie to, czego nigdzie nie znajdziecie. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę” — mówi Pismo Święte. Po cóż więc szarpanie się, walki, gubienie dusz swoich i cudzych, kiedy szczęście przed nami, cel widoczny, a życie tak krótkie?

Milczeliśmy długo, ja przeżuwałem te słowa, tchnące powagą wiary głębokiej, a Ojciec Prokop patrzył znowu w ten wizerunek Chrystusa na ścianie i poruszał nieznacznie ustami jakby w modlitwie, a w końcu zapytał:

— Gdzie pan będzie drukował te wrażenia?

— W „Tygodniku Ilustrowanym”.

— Niech wam Bóg błogosławi i dopomaga w dobrym — życzę wam z całego serca, a panu życzę sił i wytrwania. Pijcie z tego źródła, tam jest pokrzepienie i tam szczęśliwość!

Podniosłem się do odejścia.

— Nie zatrzymuję, bo czas na moje pacierze; do chóru nie chodzę, bo moje nogi już na nic.

Pocałowałem go w rękę na pożegnanie, bo mnie ujął tą swoją jasną, czcigodną starością, a on pocałował mnie w głowę i zrobiwszy znak krzyża świętego nade mną, szeptał coś niedosłyszalnie.

Wyszedłem i stanąłem zaraz w korytarzu, aby zreasumować wrażenie, ale ta twarz pogodna przez poznanie tkwiła mi w mózgu, i ciągle słyszałem ten głos głęboki, mówiący mi:

— Pijcie z tego źródła, tam pokrzepienie i tam szczęśliwość!...

Szedłem wolno korytarzami, a ze ścian patrzyły na mnie wypełzone twarze Ojców: widziałem brody siwe, oczy przygasłe, rysy surowe, ciała ascetyczne, dusze pełne zaparcia się i poddania; widziałem w brązowych ramach sceny malowane naiwnie, a pełne porywającego uczucia, gdzie zrazu wychylają się dusze proste i zmęczone, tragiczność walk z samym sobą, ofiary z życia, zgielkliwe sceny mordów, gdzie zabijani mieli uśmiech niewysłowionej szczęśliwości, gdzie byli asceci-filozofowie, dusze szczytne w abnegacji, serca płonące tylko jednym uczuciem, uniesienia ekstatyczne, uśmiechy boskie surowością i dobrocią, wyrazy cierpień bez nazwy. Papieże, kardynałowie, biskupi, prości mnisi,

Wiara, Lud

dobrodzieje zakonu w stalowych zbrojach, istnienia złamane i w ciszy cel szukające zapomnienia. Hekatomba ofiar i poświęceń. Cały korowód dusz, cienie ciał dawno rozpylonych we wszechświecie — wszystko to zdawało się poruszać, zstępować z tych płócien, snuć się w świetle korytarzy i cicho śpiewać hymny, przesnuwać się obok mnie i szeptać, wskazując krzyż rozpięty wprost okna:

...Tam pokrzepienie i tam szczęśliwość!...

Kiedym schodził, usłyszałem z chóru zakonnego łagodnie brzmiące tony hymnu, śpiewanego przez Ojców. Poszedłem do ogrodu i wchłaniałem nie tylko piękno przyrody wiosennej, ale i ten spokój, jaki tam panował, tę ciszę, aż jakąś słodką życia odosobnionego i poświęconego jednej idei, ciszę serc, które wierzyły i w odosobnieniu od świata znalazły królestwo zapomnienia.

Siedziałem długo pod jabłonią, co różowe płatki kładły u stóp, i wsłuchiwałem się w te delikatne, konające szmery śpiewów, i odnajdowałem w sobie jakieś pragnienie bardzo dawne i bardzo silne — samotności i odpocznienia. Pomyślałem wtedy, że taki klasztor byłby ukojeniem i szczęśliwością dla wielu dusz chorych i znużonych, byłby przystanią cichą dla wykolejonych i połamanych kołem losu.

W zakrystii spostrzegłem dwie opętane; przyszły do spowiedzi, były przytomne i klęczały zatopione w modlitwie. Ujrzałem tylko sine, opuchłe twarze i wyraz okropnego zgnębienia w zalanych łzami oczach.

Nie widziałem już ich potem więcej.

Nowe Miasto jest przede wszystkim niechlujnym i obszarpanym miasteczkiem. Zakład leczniczy wcale mnie nie olśnił. Młody park rzadki, a drzewa sadzone na zboczu wzgórza — mizerne, o wyglądzie jak gdyby im właśnie było potrzeba hydropatii. Budowle ciężkie i bez śladu jakiego bądź piękna w liniach. Długa weranda przeznaczona na koncerty albo widowiska, a służąca zwykle do spacerów w dni słotne — razi brzydota i łataniną, a niżej, za domem dyrektora zakładu, błotniste łąki nie dyszą wcale aromatami. Czuję, że nie wytrzymałbym tutaj tygodnia, bo zjadłaby mnie nuda i brzydota otoczenia. Może i dlatego tak mi się nie podobało to dzieło rąk ludzkich, że miałem oczy i mózg olśnione przepychem królewskim pól i lasów.

Zastałem już braci szykujących się do odejścia. Odszukałem woale i poszliśmy razem, niezmiernie spadzistą i krętą drogą, biegnącą wykopem do Pilicy.

Park z prawej strony wznosi się po wzgórzu i biegnie nad Pilicą. Była już siódma po południu. Upał się skończył i chłód szedł od tej masy drzew i od wód. Przeszliśmy Pilicę płynącą szeroko i pełną mielizn, i traw na prądzie.

Z mostów bardzo ładne widoki na park, kościół parafialny stojący na szczycie i zakład leczniczy; drugi brzeg płaski, zarosły lasami, nuży jednostajnością.

Zaraz za rzeką skręciliśmy na prawo, na boczną drogę ciągnącą się przez chude, zaniezione miejscami piaskiem pastwiska, a potem już tylko szli okropnie piaszczystą drogą przecinającą sosnowe zagajniki i resztki wysokopiennych lasów. Część cięższych wozów poszła szosą; mamy je spotkać dopiero pojutrze w Wielkiej Woli.

Znać na wszystkich porządne zmęczenie; sześć mil zrobionych dzisiaj daje się i mnie uczuwać.

Woale mówią monosylabami i idą jakąś twardszą ścieżyną leśną, a ja drogą, bo mniej czuję twardość korzeni, i żeby zabić czas, staram się odgadnąć twarze z profilów, słabo rysujących się przez zasłony, chcąc je dla siebie streścić i zamknąć w jakiej definicji.

Pierwsza, najwyższa wzrostem, ma chód powolny i nieco pochyłony, zmęczenie pewne w liniach postaci i wyraz ust pełen cichego smętku, i te oczy ogromne, których spojrzanie pamiętałem, zatopione w rozmarzeniu, uśmiech niezmiernie dobry a zagadkowy smutkiem, głos przeczysty o jakichś łzawych akcentach i powagą wyniosłości naturalnej duszy, która się tutaj źle czuje.

Tak, ta to uosobienie Melancholii.

Druga to Sprzecznosc; widzę to w każdym ruchu, słowie i linii postawy. Sprzecznosc bardzo miła i czynna, ale wiecznie stojąca w miejscu jednym przez ciągle zwroty i kasowniki wewnętrzne.

Ta trzecia to stanowczo Zaduma. Idzie prawie automatycznie i ma linię ciała tak prawidłowo falującą w ruchu spokojnym jak grecka kanefora. Głowę trzyma prosto; przysiągłbym, że jej szeroko otwarte oczy nie widzą nic na zewnątrz; jest zapatrzona w siebie.

Cisza, Natura

Milczeliśmy i cisza była coraz większa naokoło.

Szmary, jakby nocy rozsypującej z wolna cienie i szarość, drżały w powietrzu razem z echem śpiewów kompanii idącej już daleko przed nami. Dziwna, że tak późno, ale kukulka zaczęła kukać w gąszczach i gdzieś, znad Pilicy dolatywało gwizdanie kosów.

Te trzy jasne postacie zaczął przysłaniać mrok i jakby rozwiewać ich kontury; zaczęły przybierać jakieś widmowe kształty i mętnieć, i jakby się zlewać z głębią leśną majaczącą tylko mgłami zarysów i pełną takich stopionych w mroku linii.

Nie mówiliśmy nic, bo tak dobrze śnić marzenia niezupełne w ciszy nocnej, płynące szlakami zórz, które się złościły jeszcze nad lasami, obwijac się myślą o drzewa, kłaść na gałęziach szemrzących cichą pieśń nocy, kołysać się w mgłach przejrzystych i mieć duszę nabrzmiałą melancholią tej ciszy i pełną olśnienia, i widzeń snu czarodziejskiego.

Cisza

## RÓŻANNA

Już bracia nasi rozłożyli się na dobre, gdyśmy doszli.

Woale miały już nocleg naszykowany przez matkę, a ja powlokłem się go szukać.

Wieś niewielka nie pomieściła wszystkich w stodolach i chałupach, więc wielu ludzi układło się do snu po ogrodach i podwórzach.

Po męczących poszukiwaniach, dostałem kąpiel w izbie pełnej siostr. Humor panował, bo gęsto rozlegały się śmiechy i żarty rubaszne. Czasami tylko zadzwieczyły od stodoły której śpiewy pobożne, a zresztą gwar i zgiełkiwość pierwotnego obozowiska.

Siedzę sobie na progu i rozmyślam, zły trochę, bo mi się jeść chciało mocno, a mleka ani chleba kupić już nie było można, ba! wody już zabrakło w studniach, a tu jedna z siostr podaje mi kromkę chleba i mówi:

— Weźmij, bracie, i jedz! — a jakaś druga przynosi ser, trzecia masło, tak, że wkrótce miałem i miód, i wędliny jakiś skrawek, i placka kawał przekładanego cynamonem.

Nim oprzytomniałem z tej niespodzianki, siedziałem już na środku izby, w pośrodku jakich czterdziestu siostr. Zacząłem im dziękować i wyjść chciałem, bo mnie to głęboko rozrzewniło. Nie wypuścili mnie.

— Jedz, bracie, ty się nie honoruj<sup>36</sup>. My wszystkie jedne i swoje. Widzimy coś ty, choć pan, pobożnie idziesz i przykładnie — nuż mi krajać chleby i podtykać.

Pożywiłem się dobrze i przegryzłem tym cynamonowym plackiem z miodem. Znalazło się i mleko w jakiejś manierce. Potem wyszedłem za gospodarzem domu i mówię mu po cichu, że płacę za nocleg wszystkich. Usłyszała któraś i zaczyna gadać:

— Zachciałeś, bracie, ukrzywdzić dobre dusze, zapłacić za dobre serce groszakiem — to nie jest pocziwie i nie po szlachecku!

Tłumaczę się, jak mogę, nie chcą słuchać i każda zaraz płaci swoje cztery grosze.

— Ty nam, bracie, za to przeczytaj co z książki — mówi jedna i daje mi jakąś starą ewangelijkę, oprawną w skórę i poowiązywaną sznurkami różańca.

Zacząłem czytać *Dzieje Apostolskie*.

Czytywałem rozmaite rzeczy i w różnych miejscach. Czytywałem obce i swoje utwory, prywatnie i publicznie, ale naprawdę nie miałem nigdy większej tremy, lecz i uważniejszych słuchaczy. Zrobił się w izbie i przed chałupą tłok, bo na głos czytania nasza siła narodu i słuchała ze skupieniem. Co raz tom musiał odpowiadać, tłumaczyć i uprzystępniać niektóre ustępy.

Czytałem z godzinę.

Zrobili mi jakieś honorowe posłanie na skrzynce, gdzie mi było bardzo dobrze, poszliśmy spać i tak spali trzecią noc pielgrzymki.

Kiedyśmy rankiem zwlekali się, to mi jedna z siostr mówi:

— Tobie, bracie, być księdzem, adukację<sup>37</sup> masz, czytasz pięknie, i wyłożył ty to Słowo Boże tak, co każdemu ze słodkością do serca weszło. Na pociechę ty, bracie, byłbyś Bogu i ludziom.

Nie odrzekłem nic, jenom się mył w cebratce, i przyszła mi na myśl Warszawa, i włoścęgi nocne z przyjaciółmi, i nasze rozmowy, i rozbijanie zmurszałych form i instytucji — i chciało mi się krzyknąć tam, do nich:

<sup>36</sup>ty się nie honoruj (gw.) — tu: nie unoś się honorem. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>adukacja (gw.) — edukacja, tu: wykształcenie. [przypis edytorski]

Książka



— Słuchajcie! Słuchajcie!

Zeszliśmy się pod krzyżem za wsią i czekamy.

Pytam się o przyczynę. Mówią mi, że wczoraj starszy brat zauważył w kilku miejscach swawolę, więc chce ją skarcić, jakoż po chwili sam staje pod krzyżem.

Tłum zbity w kupę stoi w milczeniu; świt się robi zupełny na świecie i z tej omglonej, błękitnej szarzyzny wylania się jakieś mleczne światło i przesącza się z wolna i rozbiela przestrzenie.

Wozy wyjeżdżają naprzód; na jednym spostrzegam te trzy woale.

Pierwsze skowronki zaczęły dzwonić w powietrzu, a bocian stojący w gnieździe na topoli przekręcał szyję i klekotał długo. Bydło porykiwało w oborach na ruń, wieś powstawała.

Starszy brat doczekał się, aż wszyscy się zgromadzili i zaczął mówić.

Przytaczam tylko niektóre ustępy zapamiętane.

— Gdzie wy idzieta, bracia i siostry? Czy idzieta na jarmarek? — to czemu krzyż jest z wamy! Czy do karczmów na zabawę albo na wesele? To czemu pobożne pieśni śpiewata, imienia Boskiego używata? Bo wy nie idzieta na odpust, ludzie, nie! Na noclegach ino śmiechy, swawola, obraza Boska! Na rozpustę idzieta, ludzie, a nie do Matki Najświętszej. I nie boita się kary Boskiej, siostry i bracia? I ma nie być chorób i upadku w bydle i ludziach, mają się wsie nie palić, grady nie bić, pierony<sup>38</sup> nie zabijać, urodzaje być — kiej wy swoją niepoczciwością<sup>39</sup> same chceta tego! I bez waszą niecnotę i niepomiarkowanie, przebierze się cierpliwość Boska i zesze<sup>40</sup> głód, i zesze choroby, i zesze ognie, coby zło wypaliły, a wtedy, bracia kochane i siostry, płakać będzieta i biadać, i skamlać o ratunek. Grześniki<sup>41</sup> jesteście bez folgi i upamiętania i takie chceta dojsć do Ty Najświętszej Matuchny! O ludzie, ludzie, upamintajta się<sup>42</sup>!

Wolał ogromnym patetycznym głosem, a płacze z wolna podnosiły się coraz gęstsze i coraz gęściej klękali ludzie, i bili się w piersi, i kajali przed Panem.

Słońce czerwoną kulą toczyło się, obrzucając skośnie te twarze czarne, zmęczone znuzeniem i rozpalone zdenerwowaniem, a brat mówił długo i tak zakończył:

— I nie będzieta jako te zwierzoki, co ryją<sup>43</sup> szyćko<sup>44</sup>, czy to bańdzie kierz<sup>45</sup> ziółek pachnących czy oset ino. Upamintajta się, bracia kochane i siostry, bo idzieta do Matki kochany, i zajdzieta brudne, i zajdzieta sflażone<sup>46</sup>, niepodobne ludziom, jeno bydłu. I co powi ta Najświętsza Panienska, żeśta nie jej dzieci, jeno wyrodki, pasierzbie<sup>47</sup> i obmierzłe<sup>48</sup>! Ament.

Skończył, wziął krzyż, zadzwonił, zaintonował pieśń i poszliśmy niezmiernie długą linią, bo droga była wąziutka i wiła się skośnie pod górę.

Rozwlekła się ta rzesza na przestrzeni kilkuwiorstowej i na tle zbóż migotała niby barwna wstęga tkana jaskrawym i kolorami.

Ziemia jałowa i poleśna, na pół przegniłe pnie drzew czernieją w żytach i kępki jałowców karłowatych rosną po miedzach.

Idziemy śpiesznie, bo chłód poranku jest orzeźwiający i siły są po nocy.

Jakaś kapliczka stoi na śpiczastym wzgórzu przed nami, a za nią zaraz las ogromny, z daleka żółcący się pniami sosen, stoi do połowy w mgłach, które z sapów i moczarów nizinnych się wznoszą. Wkrótce też widzę, jak czoło orszaku, z krzyżem na czele, pnie się pod tę górę, zatrzymuje przez chwilę i spływa z boczem w las. Jest niezmiernie piękny ten przypływ i odpływ, ten sznur węzłów kolorowych, nanizanych na szarej ścieżynce leśnej, tonący w lesie.

Z godzinę czekam na swoją kolej.

<sup>38</sup>pierony (gw.) — pioruny. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>nepoczciwość (daw.) — nieżyczliwość, nielagodność. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>zesze (gw.) — tu: ześle. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>grześniki (gw.) — grzesznicy. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>upamintajta się (gw.) — opamiętajcie się. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>ryć (gw.) — tu: jeść. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>szyćko (daw., gw.) — wszystko. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>kierz (gw., daw.) — krzew. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>sflażony (daw.) — zablocony, zaszargany. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>pasierzbie (gw.) — pasierby. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>obmierzły (daw.) — budzący wstręt. [przypis edytorski]

Jest tak stroma ta góra, że same nogi nie wystarczają, trzeba się i rękoma posiłkować. Kapliczka odwieczna, z drzewa, z figurą św. Magdaleny ciętą w drzewie i polichromowaną po gospodarsku, obwieszoną firankami i strojną w korale.

Kobiety po kilka kamyczków zabierają ze szczytu i ze szczególną czcią chowają.

Pytam się: „na jaką to pamiątkę?”

— Tę górę to św. Magdalena swoimi rękami<sup>49</sup> nanieśla, kuźden kamuszczyk<sup>50</sup> miała w rękach, to ony pomocne są na bólenie zębów.

— To bracie tak było — mówi brat jakiś, gdyśmy już zeszli z góry — stare ludzie powiadały, że trzydzieści roków, kiej to słyszałem, że się to zrobiło, jak św. Piotr z Panem Jezusem chodzili po ziemi i uwagę robili, jak się ludzie gospodarzą po świecie.

— Byłóż tak, bracie? — pytam, udając zdziwienie.

— Nie miało być?... Toż w ksiązkach stoi, a i ludzie opowiadają rzetelne... którego to roku, juści<sup>51</sup>, że akuratnie nie powiem, jeno już tak, jak jest teraz, ludzie były złe i dobre, i różne. Powiem tak, jak słyszałem. Kupił św. Piotr wozik i kunia<sup>52</sup>, bo się Panu Jezusowi święte nóżki do cna ściepały i chodzić nie mógł. Siedli se i jadą. Pan Jezus, jako gospodarz z tyłu, a św. Piotr na przedzie. Jechali tą drogą, co i my teraz, a pioski<sup>53</sup> były po sękle<sup>54</sup>, kuń się zgrzał, a wóz, że to nie kuty, skrzyp-skrzyp! Pan Jezus paciorka mówić nie mógł, bo co staje, to: „skrzyp-skrzyp”. Więc rzeknie: — „Obacz no, Pietrze, co tak piszczy...”

— Św. Pietrowi, że się spać z tej gorącości chciało, to ino kunia batem i odpowie: — „To kamuszczyk ano pod kołami” — a przepomniał<sup>55</sup> wozu nasmarować. Panu Jezusowi się sprzykrzyło<sup>56</sup>. — „Stań i zleż” — mówi. — Św. Piotr kunia zatrzymał i zlął. „Weźmij siekire<sup>57</sup> i chodź!...” Poszli w las, Pan Jezus znalazł suszkę i powiada: „Tnij!...” Św. Piotr ściał drzewo. Wytopili smoły, nasmarowali osie i pojechali. Jadą, jadą, aż tu spotykają kobietę zmizerowaną ostatnio, co lamentuje i skamli się o zabranie. Pan Jezus udał, co nie słyszy. A św. Piotr mówi: „Droga ciężka, moja kobito, kuń słaby, wóz trzęsie, tobyś se kostki pominszała<sup>58</sup>, idź za koleją, to i tak trafisz gdzie ci trza<sup>59</sup>, i zdrowi ci będzie”. Pan Jezus nie mógł już ścierpieć i mówi: — „Zabierz, Pietrze”. A Piotr na to: „Ciężko, Panie, kuń padnie albo kto musi iść piechty”. — „Zejdziesz i pójdiesz piechty!” Św. Pietrowi markotno się zrobiło, że ino mruknął: — „A siadoj, babo, choć na kuniec<sup>60</sup> rozwory<sup>61</sup>” — i drzymie se. — „Skądęś, kobito?” — pyta się Pan Jezus, a ta ino płacze i lamentuje i mówi, co się nazywa Magdalena, że idzie w całki świat szukać śmierci, bo ludzie ją odganiają jak psa. Pan Jezus zaroz widział, co ona była wielka grzesznica. — „Grzeszyłaś bardzo!” A ona ino spojrziała w te święte oczy i zaroz i sie serce skurczyło ode strachu, ale rzekła: — „Grzesznam, Panie”. — „Nie grzesz więcej, pokute czyn, to ci będzie odpuszczone!...” I kazał jej Pan Jezus nanieść rękami kamuszczyków, aż usypie taką górę, coby lasy przeszła. Św. Magdalena została sypać (niby tę górę, cośmy byli teraz), a Pan Jezus ze św. Pietrem pojechali, aż i noc się zrobiła, stanęli se we wsi, co im była po drodze, przenocować. Pan Jezus dał św. Pietrowi piniądze i mówi: — „Naści<sup>62</sup>, Pietrze, dziesiątkę, idzi i poprosz o popasanie dla kunia, bo sie bydłatko zgłodziło do cna, a nie wpuść komu w szkodę, bo grzych<sup>63</sup>”. Sam poszedł do kapliczki, co stała za wsią, modlić się. Św. Piotr ostał sam i tak se myśli, co jemu wcale nie mniej kiej kuniowi się jeść chce, a bidny był.

<sup>49</sup>rękami (gw.) — rękami. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>kuźden kamuszczyk (gw.) — każdy kamyczek. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>juści (daw., gw.) — juźci. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>kuń (gw.) — koń. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>pioski (gw.) — piaski. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>sękiel a. szenkiel (z niem. *Schenkel*) — wystająca z piasty część osi, na której obraca się koło wozu. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>przepomniać (gw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>przykrzyć (gw.) — przykro coś odczuwać, nudzić się. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>siekira (gw.) — siekiera. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>pominszać (gw.) — pomieszać. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>trza (gw.) — trzeba. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>kuniec (gw.) — koniec. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>rozwory — drąg umieszczony podłużnie w wozie gospodarskim, łączący przednią i tylną część podwozia. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>naści (daw.) — masz, weź. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>grzych (gw.) — grzech. [przypis edytorski]

Tu kuniczyna<sup>64</sup> przy drodze po pas aż<sup>65</sup> szumi i nikogo w polu nie widać. Puścił kunia, a sam poszedł do chałupy, żeby co zjadł. Podjadł se, zapłacił i wyszedł. Kunia pognał dalej ode drogi, spętał na liczkę, a kuniec postrunka<sup>66</sup> okręcił se kole ręki<sup>67</sup>, aby mu kuń nie uciekł, i położył się spać, a kalkuluje, co nim Pan Jezus wróca, to un<sup>68</sup> się prześpi i kuń się napasie. W nocy gospodarz przyszedł kunia zajmować, św. Piotr prosił się<sup>69</sup>, ale chłop był twardy i ino chciał półzłotka za szkodę, a że św. Piotr ni miał<sup>70</sup>, to i jego wzion i zamknął w kumorze<sup>71</sup>. O jutrzni Pan Jezus przychodzi i woła: — „Pietrze, Pietrze!” A tu nic, ino słyhać bez ścianę chlipanie; to jeszcze raz woła: „Pietrze! Pietrze!” A św. Piotr na to: — „Jakżeści przyjdę, Panie, kiej me chłop w kumorze zamknął i przez półzłotka ani mnie, ani kunia nie puści!...” Zapłacił Pan Jezus półzłotek i gniewał się. Bo wypasanie i szkoda bliźniemu to jedno, co złodziejstwo a zabijanie. A chłop obaczył jasność nad głową Pana Jezusa i poznał, co to jest Bóg, więc rychło przyleciał i z dzieciamy<sup>72</sup> i z babą, oddawał półzłotek i prosił: — „Zostań, Panie Jezu z namy<sup>73</sup>! Z kumory się cieloka przegna, oczyści ją i wybieli, będzie w sam raz, i kuń będzie miał kuniczynę co dnia i parobek pożywienie”. A Pan Jezus poznał, co ten chłop był dobry człowiek, to mu błogosławił cicho i powiedział: — „Zaprawdę, zaprawdę, każdy weźmie zapłatę za to, co robi. Weź, chłopie, półzłotek, bo ci się za koniczynę należy, bo nie ma takiego króla abo i pana drugiego, co by nie powinien za to, co bierze, płacić”. I odjechał.

— Może jeszcze brat co wie o Panu Jezusie? — pytam zachwycony naiwnością opowieści.

— Nie, już nic nie wiem.

Opuuszczam go i skręcam w las, żeby sam pozostać, bo mi zaczęły te drzewa coś mówić i ciągnąć w głębię. Echa niosły mi psalmodię ludu, coraz cichszą falą zamierającą w jakimś srebrnym szepcie, i tyłkom szedł za jej brzmieniem: a las się rozgwarzał blaskami słońca i rozmadlał w ciszy złotawego mroku.

Olbrzymie sosny, jakich nie widziałem jeszcze w życiu, stały jak nieskończony las bursztynowych kolumn nakryty stropem zielonym, poprzecinanym błękitem.

Zółny, niby czerwone błyski, przelatowały po gałęziach, trzepotały skrzydłami i wydawały krzyk przeciągły, który brzmiał w ciszy niby jakiś oderwany frazes nokturnu.

Mchy, o niezmiernie miękkim szmaragdowym tonie, słały się dołem jak wody o spokojnej toni, a przestrzeń słyły szmery, brzęki, wonie, szumy, czasami ostatnie echa pieśni uderzały w te potężne struny lasu i rozbrzmiewały dziwnie piękną i słodką melodią, która mi osnuwała duszę i rozpraszała ją po lesie.

Jakiś łagodny, ciepły wiatr przeciskał się przez korony, że drzeń i chwiać się poczęły cicho, a te czarnośći dziwne i niepokojące, które leżały pod konarami rozłożystych świerków, falowały niby twardy rytm w tej czarodziejskiej symfonii leśnej.

Zatrząsałem się, bo ostra gama śpiewu nadbiegła niby brutalny, zimny strumień lutego światła i zakłóciła tę świętą ciszę wrzawą skrzeczącą i zgielkiem, a mnie się tłoczyły w mózgu czytane niegdyś słowa:

I słyżę szum, i słyżę jęk,  
Drgające słyżę głosy;  
I w sercu mam złowieszczy lęk,  
A oczy pełne rosy.<sup>74</sup>

Kompania odpoczywała zaraz za lasem; poszliśmy już razem do Studzianny.

<sup>64</sup>kuniczyna (gw.) — koniczyna. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>aże (daw., gw.) — aż. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>kuniec postrunka (gw.) — koniec postronka. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>kole ręki (gw.) — wokół ręki. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>un (gw.) — on. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>prosić się (daw.) — uporczywie błagać o coś. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>ni miał (gw.) — nie miał. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>kumora (gw.) — komora. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>dzieciamy (gw.) — dziećmi. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>namy (gw.) — nami. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>I słyżę szum, i słyżę jęk, / Drgające słyżę głosy; / I w sercu mam złowieszczy lęk, / A oczy pełne rosy. / — fragment wiersza Marii Konopnickiej \*\*\* (Przy oknie siedzę w cichą noc...). [przypis edytorski]

Stanęliśmy tam na ósmą rano.

Wyszedł po nas ksiądz z muzyką, chorągwiami, feretronami i po przemowie wprowadzili nas do kościoła.

## STUDZIANNA

Wioska i kościół poklasztorny po zgromadzeniu księży filipinów w zepsutym stylu odrodzenia. Ołtarze barokowe. Kościół o trzech nawach z wybladłymi freskami na sklepieniu, widny i duży. W zakrystii, dosyć ciemnej, wiszą rzędami portrety książąt Kościoła i rycerstwa.

Szczególnie dwa portrety rzucają się w oczy; jeden jakiegoś purpurata, a drugi rycerza w pełnej zbroi i rysim płaszczu.

Zabudowania poklasztorne ogromne i nieźle utrzymane, a poza nimi ogrody obwiedzione murem wysokim.

Oglądam znowu kościół i widzę, że jest z XVII stulecia, ale w XVIII był z pewnością przyprrowadzony do obecnego stanu; znać to po napuszonej niesmaczności ozdób. Co mnie drażni prawie w każdym prowincjonalnym kościele, a w szczególności tutaj, to rzeźby. Są okropne po prostu. Istna ciesiołka barbarzyńska, wyzłocona i polichromowana przez eunuchów sztuki.

Powracam jeszcze do zakrystii.

Tłok jest przy mense, kupują obrazki i książeczki z opisem kościoła i cudownej Matki Boskiej Studziańskiej, więc nim się przepchałem do portretów — słyszę:

— Bracia i siostry, ja wam nie mówię. Bydło jesteście, trzoda, ale Bóg świadkiem, jak mało ludźmi jesteście — pchacie się i ciśniecie niby stado.

Kto to mówi, nie widzę w tłumie.

Podoba mi się mniej ten portret, bo widzę, że malarz pokrywa swą niemoc sztuczka-  
mi, kolorytem wypudrowanym i mdłym i pozą paradną purpurata, który stoi tak, jakby się kazał podziwiać prostakom. Cały sposób malowania efekciarski i płaski przypomina mi marionetki strojne we fraki i koronki, strojnisiów stanisławowskich malowanych przez uczniów Bacciarellego<sup>75</sup>. Malarz nie rozumie już ciała jak za czasów odrodzenia, ani wyrazu i myśli wysubtelnionej jak da Vinci, tylko ma stałe szablony podług<sup>76</sup> których maluje. Biskupa, króla, rycerza, szlachcica, tak, jak ich sobie przedstawiał w ceremoniale, z całą pompą wystawności.

Już się nie przyglądam temu w zbroi; wychodzę z kościoła i przypatruję się dziadom.

Istna kopalnia brzydoty i potworności. Piękny ten asortyment siedzi po obu stronach przejścia. Naliczyłem 32 ślepych, kulawych, niemych, pokręconych. Widzę po sposobie wyciągania rąk i pokazywania swego kalectwa, że to starzy zawodowcy.

Zębrzą niesłychanymi głosami, gną się, płaszczą, jęczą choćby o grosik u „siostrzyczek” i braci pobożnych, a każdy z nich woła, że jest najnieszczęśliwszy.

Kopalnia typów, ruchów, rzeń, bród, jęków, spojrzeń apostoelskich a wyrazów twarzy lotrowskich, cały śmietnik dusz ohydnych, bo czuć z daleka, poza tą maskaradą żebractwa, cynizm wstrętny i obłudę specjalistów. Tylko jeden z całej tej brudnej zgrai wydaje mi się innym. Jest naprawdę ślepy, a śpiewa bez przestanku, a obok siedząca baba wtóruje mu falcetem. Usiadłem za tą parą, aby posłuchać, co śpiewają.

Ludzi wychodzi z kościoła coraz mniej, a mój dziad śpiewa:

Czy to już koniec świata!

Syn traduje ojca, brata,

Córka za łeb matkę sięga —

Że cię piekło nie dosięga,

Diablico!...

I dalej idą już tylko warianty.

<sup>75</sup>Bacciarelli, *Marcello* (1731–1818) — włoski malarz, przedstawiciel baroku i klasycyzmu, nadworny malarz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>podług (daw.) — według. [przypis edytorski]

— Nie drzyj się, głupi, po próźnicy<sup>77</sup>, nikt już nie idzie — szepnęła mu kobieta, ale tak głośno, że najdokładniej wszystko słyszałem.

Umilkł i zaczęli liczyć pieniądze.

— Rubel ino. Na psa taki zarobek. Łachmytki<sup>78</sup> jedne, idzie to na odpust przez<sup>79</sup> grosza, kiej<sup>80</sup> dziady.

Splunął pogardliwie, wyjął tabakierę i rzekł:

— Zażyj, babo, spracowałeś się sielnie<sup>81</sup>.

Odszedłem, aby nie mącić odpoczynku spracowanym.

Na placu przed kościołem pełno narodu. Nadchodzi kompania ze Zwolenia, z guberni radomskiej, coś tysiąc dusz; idą z księdzem na czele i z chorągwiami. Lud rosły i twarze inteligentne. Kobiety w chustkach okręconych jak zawoje, w welniakach i zapaskach na ramionach granatowych w białe poprzeczne pasy.

Odróżniają się od nas strojem, akcentem i jakąś większą ruchliwością.

Oni poszli do kościoła, a ja, że byłem głodny niezmiernie, jeść na plac. Kapuśniak był obrzydliwy, herbata jeszcze gorsza, ale wyboru nie ma.

Wyspałem się w księżym ogrodzie, na murawie, w cieniu jabłoni pokrytej zupełnie kwiatem i pszczołami biorącymi miód. Ażeby się choć trochę obmyć, idę do sadzaweczki, pełnej brudnej i zanieczyszczonej gliną wody. Już tam nad brzegiem myło się dosyć ludzi.

Jakaś siostra wygarnęła masło na szmatkę, ogląda garnek pod słońce, a potem śpiewnie mówi:

— Tymi, Najświętsza Panno Studziańska, przebac, co powiem, ale tego psubrata lepigarka niech jasna choroba zatłucze!

I wali z wielką, płacziwą irytacją garnek o ziemię.

— To grzech, siostrzo, tak pomstować<sup>82</sup> przez marną glinę — rzeczy surowo brat jakiś.

— No, mój braciszku. Jeszcze roku nie ma, jak dała za niego dwudziestkę w Węgrowie — i już feler i cały garnek na nic.

I rozżalona, wśród śmiechu braci, zbiera masło przeciekające jej przez szmatkę i odchodzi.

Zdobyłem miejsce przy kałuży; obok mocząca nogi i czesząca się siostra pyta:

— Brat z jakiej kompanii?

— A siostrzo?

— Ja z ciepiewskiej.

— A ja ze zwoleńskiej.

— To dobrze, bo w praskiej to idą same złodzieje — mówi z głębokim przekonaniem.

Nie wyprowadzam jej z błędu, tylko myjąc się, słucham rozmowy dwóch braci siedzących za mną.

Jeden z nich powiada:

— Na gruszki się ma, to zboża nie będzie.

— Brat z daleka? — pyta drugi.

— Nie, zaraz spode Warszawy.

— I w butach całą drogę?

— A całą.

— Toż szkoda, braciszku.

— Cóż to, buta będę żałować, a nóg nie! To ino szlachta boso idzie; nas stać jeszcze na obucie, chociaż<sup>83</sup> chłopcy — mówi uszczypliwie.

— To i cóż, toż my i tak szlachta ze szlachty, a ty, bracie, chłop, to i cham.

— Taki szlachcic, co gołkiem i piechty chodzi<sup>84</sup>, to u mnie stoi grosz<sup>85</sup>.

<sup>77</sup>po próźnicy (gw.) — na próżno. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>łachmytki — nędzarze. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>przez (gw.) — bez. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>kiej (gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>sielnie (gw.) — dzielnie. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>pomstować — przeklinać. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>chocieżna (gw.) — chociaż żeśmy; chociaż jesteśmy. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>gołkiem i piechty chodzić (gw.) — chodzić boso na piechotę. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Taki szlachcic (...) to u mnie stoi grosz — dla mnie jest po groszu, ma wartość jednego grosza. [przypis edytorski]

— I pieszo i boso, a zawsze, mój bracie, co szlachcic, to szlachcic. U mnie, bracie, i obejście i delikatność, i honor swój jest, a ty, bracie, gliniany, gruby człowiek jesteś.

— A bracia cieńkie ludzie jesteście i delikatne, bo przypowieśćka powiada:

Torba kaszy, torba mąki i torba słoniny —  
Ma Podlasiak na rok cały leguminy.

Szlachcic się zachnął, ale ciągnął słodko:

— Żeby ty, bracie, nie był ordynarny człowiek, toby tego nie mówił, co głupie powiedziały, ale znać, co kiedyśmy władali, to wy jeszcze chodzili na bałyku<sup>86</sup> i baty brali<sup>87</sup>, mój bracie.

— A jest taka druga przypowieśćka:

Szlachta zagonowa: jeden kradnie, drugi chowa.

— Ot cham jesteś, czysty cham, mój bracie!...

I odszedł, nie tracąc spokoju.

Masy okolicznych chłopów w niezmiernie barwnych strojach kręciły się pomiędzy naszym i braćmi. Kobiety całe na czerwono, a chłopci w białych kapotach samodziłowych, czerwonych spodniach i spencerkach, w kapeluszach niby garnczki do mleka, przewrócone dnem do góry i obwiedzone galonem podwójnym lub aksamitką.

Kiedy tak się przypatruję tym ludziom, przystępuje do mnie jakiś młody, może 18-letni chłopak, w bluzce, słomianym kapeluszu i perskich pantoflach na nogach i pyta:

— Brat z Warszawy?

— Tak.

Widzę ładną, cherubinowo ułożoną twarz tego braciszka.

— Nie wie brat, przez kogo erygowany ten klasztor?

— Jużci, że nie wiem.

Nie odzywa się, tylko z sykiem bolesnym siada, ściąga pantofle, wyjmuje flaszeczkę i zaczyna okładać swoje popuchłe i poobcierane nogi wodą gulardową.

— Nie dojdzie brat do Częstochowy — mówię ze współczuciem.

— Dojdę. Matka Boska mi pomoże i choćby na czworakach, to dojdę — odpowiada z jakimś tkliwie seraficznym uśmiechem.

Maskuje spryt naiwnością i wygląda na typowego „mamisynka”, więc nie bardzo wierzę w jego szczerość.

Idę do woalów siedzących pod parkanem. W dwóch trzecich są odsłonięte, bo Melancholia nie zdjęła zasłony.

Bardzo miłe i sympatyczne twarze.

Umawiamy się wyjść razem przed kompanią, bo czeka nas droga czteromilowa do noclegu, a już jest godzina druga po południu.

I wyruszamy wkrótce jeszcze lepszymi piaskami.

Za Studzianną okolica zmienia się gwałtownie. Idziemy wydmmami porośniętymi janowcem i nędznymi jałowcami. Jest miejscami trochę żyta, ale nad wyraz marne. Horyzont zamykają góry żółcące się szczerym piaskiem. Stoją niby łyse, odarte z włosów przez wichry czerepy, i tylko jakieś kosmyki, strzępy drzew okalają od dołu te wydmy.

Nigdzie ani wsi, ani ludzi, pustka smutna i brzydka.

Uszliśmy wiorst kilka i spostrzegamy po tumanach kurzu, że kompania niedaleko za nami. Szliśmy ze zdwojoną siłą, ale tamci nadpływali niby lawiną i zalali nas w jakimś rzadkim sosnowym lesie, i przepłynęli jak chmura. Dopędziliśmy ich znowu o parę wiorst na spoczynku.

Szukamy mleka i chleba, znajdujemy wreszcie, lecz chłop sprzedać nie chce.

— Baby nima, bo jo wim, przedać czy nie przedać? Baba by warczała.

Chcę mu z góry płacić, bo wiem, że niejedni obawiają się tego „Bóg zapłać”.

<sup>86</sup>chodzić na bałyku (daw.) — chodzić na czworakach; raczkować. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>brać baty (daw.) — być bitym; nawiązanie do kar cielesnych jako dawnej metody wychowywania dzieci. [przypis edytorski]



— Nigdywa mleka nie przedawali, to i nie wima po wiewa — pogaduje, a drapie się po rozczochranym łbie i spluwa raz po raz.

Skończyło się na tym, że Sprzecznosc wyciągnęła z szafki dzieżę z mlekiem i dalejże... ale pić nie było czym i panie musiały wziąć się do mycia kubków wiszących we dwa rzędy na ścianie, ale straszliwie brudnych. Wreszcie pokazuje się, że tego mleka jest zaledwie kwarta, a i chleba brak. Mleka nie chce chłop za nic przynieść więcej; chleba przyniósł bochen, ale nowa scena: nie ma czym odważyć, na próżno mu chce zapłacić choćby za wszystko, byle ukrajał kawałek. Posłał jakiegoś chłopaka na wieś pożyczyć wagi i mówi spokojnie:

— Ukrzywdzić ani być ukrzywdzony nie chcę — i bochenek trzyma w garści.

Czekamy radzi nieradzi, choć widzimy, że kompania odchodzi.

Po jakim takim pożywieniu pytam się:

— Ile drogi do kościoła najbliższego? — Bośmy do wszystkich spotykanych po drodze albo leżących w promieniu jakiej wiorsty lub dwóch, wstępowali uroczyście.

— Bandzie wiorsta z czymś...

Jakeśmy zaczęli iść tę wiorstę „z czymś”, to były dobre cztery piaskami.

Wstąpiliśmy do tego kościółka drewnianego i niezmiernie typowo chłopskiego i po jakimś półgodzinnym odpoczynku ruszamy do Konic.

Mamy podobno wiorst sześć i „ochol”. Piaski, piaski, piaski i kamyczki czuć opoczyńskie, co to podług przysłowia: „Opoczyńskie kraje, korzec kope, kopa korzec daje”. Stwierdzam to na każdym zagonie lichych zbóż, a pomimo to wsie znaczą się gęsto długimi liniami sadów wiśniowych.

Cięzka bardzo droga i pragnienie zaczyna palić, a wody nigdzie ani kropli.

Potykamy się co chwila, bo kamyczków ostrych jak krzemienie — miriady. Woale co chwila dyskretnie wytrząsają piasek z pantofli i widzę, że niezmiernie cierpią z powodu tych kamieni i pragnienia.

Zostaliśmy znowu na ostatku, nawet za wozami, bo sił już było coraz mniej.

Przechodząc poprzecznie wieś jakąś, szukam mleka — nie ma, wody wreszcie — nie ma. Kompania przed nami wszystko wypila, a studnia, jedyna na całą wieś, jest gdzieś w polu. Ha! Trudno, dojdziemy przecież kiedyś do wody, ale czuję z pewną trwogą, że każdy ruch zaczyna mi sprawiać ból coraz przykrzejszy, a w dodatku okolica tak brzydka, że rozpacz.

Idziemy wreszcie jakimś płaskowzgórzem, gdzie i drogi twardsze, i zboża ładniejsze, i krajobraz więcej urozmaicony. Pytamy się ładnych i bardzo czysto odzianych dzieci, które poklekały przy drodze i złożonymi jak do modlitwy rękoma i spojrzeniem żebrają.

— Jak daleko do Konic?

— O hań<sup>88</sup>! — mówią, wskazując las czerniejący w odległości jakich wiorst pięciu.

Spojrzelśmy tylko na siebie rozpaczliwie i idziemy, słodząc tę gorycz i zmęczenie potężne cukierkami, które jedna z „sióstr” miała przy sobie i małą sprzeczką, bo Sprzecznosc koniecznie mi chciała dowieść, że koniczyna, której ogromny kawał zielenił się bujnie na stoku, jest grochem, a jeżeli nie, to z pewnością gryką.

Głód i pragnienie oszukiwaliśmy w ten sposób, ale zmęczenie nie dało się stłumić.

Odpoczywamy co pół wiorsty, bo Melancholia zaledwie trzyma się na nogach. Przez woal dopatruję jej bolesnego zacięcia ust i wysiłku ostatecznego.

A tu i słońce już zachodzi, stanęło nad cudownie miękko falującą linią wzgórz lesistych, rozpalilo się do czerwoności i bezrzęsą, ogromną kulą zapada. Prawie widać jak leci, a głębokie doliny przed nami pełne są mgieł perłowo-błękitnych; purpura zachodu przesyca je z wolna, że robią się liliowymi, a potem mają ton heliotropu o białawym obrzeżu. Zboża i drzewa stoją bez ruchu, cichość wylania się z mroków i zdaje się snuć rozłogami i rozpylać w coraz głębsze milczenie. I taką powagą zadumy melancholijnej obleka się świat i jest tak pięknie, że tylko usiąść, patrzeć i wzdychać.

A potem, z wolna mąci się wszystko, gaśnie, rozszerza, płaszczy, rozlewa w cieniach i coraz to jakiś kawałek lasu, góra, grupa drzew, odrywa się i zapada w nocy i wieje chłodem. Noc się robi, a my wciąż idziemy polami, ciszą i tą nieskończoną, bielejącą w mrokach drogą.

Piękno, Natura

Cisza

<sup>88</sup>hań (gw.) — tam, daleko. [przypis edytorski]

Czuję się tak wyczerpany, że gdyby nie Melancholia, która idzie naprzód, już prawie nieprzytomna z wysiłku, to bym się położył na drodze i został. Doszliśmy wreszcie do tych Konic.

Kilkanaście chałup wioski pomieściło zaledwie część ludzi i wozów, reszta rozsypała się po wsiach sąsiednich. Rozpacz nas ogarnia, bo nie znajdujemy swoich wozów i reszty towarzystwa. Gdzie szukać? I skąd wziąć sił? Woale mówią, że choćby w rowie, to się prześpią, ale już dalej iść nie mogą. Znalazłem w najbliższej wiosce jakąś mniej zapchaną izbę dla nich i ledwiem namówił<sup>89</sup>, że tam poszły. Stoję przed chałupą i myślę. Dokąd tu iść, bo stodoły, chlewy i podwórka zawałone śpiącymi pokotem?

— Boże! — myślę sobie, spostrzegłszy obok drogi kawał piaszczystego pola. — Boże! Jakże ja byłem głupio cywilizowanym! — i ściągam buty, bo mi dolegały okropnie, kładę się w brudzie i po minucie już śpię, zapominając o wszystkim.

Obudziłem się o świcie, w samą porę.

Byłem na pół skostniały i odurzony powietrzem, nie mogłem się podnieść z ociężenia, ani oddychać z jakiegoś okropnego bólu płuc. Zwlokłem się jednak, bo już wszyscy nasi ściągnęli się pod krzyżem; zresztą nie mogłem chorować, skoro sobie postanowiłem dojść pomimo wszystkiego.

To polami, to lasami i znowu szliśmy, z coraz większym rozmachem siły wewnętrznej, z coraz większym zaparciem.

Słońce paliło, kurz zapierał piersi, zmęczenie obciążało wszystkie członki, trudy obdzierały wprost z ciała, ale we wszystkich oczach i sercach jaśniała coraz więcej — Częstochowa.

Jeszcze nas rozdzielały góry, rzeki, pustki pełne piasków, drogi okropne, skwary, a ona coraz więcej zajmowała miejsca w duszach, coraz więcej je rozplamiała.

Szedłem razem z tym tłumem, bo mi z nim było iść coraz lepiej, bom coraz więcej się z nim rozumiał i jednoczył, a zapominał o reszcie świata. Miałem wokoło siebie tyle do widzenia, tyle do słyszenia i wyczuwania, że niepodobna byłoby myśleć o czym innym.

## WIELKA WOLA

Duży kościół poklasztorny. Za drzwiami kutymi ręcznie w barokowe arabeski, cmentarz obwiedziony arkadą o prostych, chłopskich słupach, a pod nią stacje męki Pańskiej malowane jaskrawo. Dzieło mistrza, którego specjalnością było pewnie ozdabianie malowanymi kwiatami i smokami skrzynek chłopskich.

Na cmentarzu kilkanaście kamiennych i żelaznych nagrobków.

Na jednym z nich napis wypukły:

Chociaż czyny wielkimi świata nie zadziwił  
Był wyższym — Uszczęśliwił.

W kościele, widnym i utrzymanym porządkie, pełno złoceń poczerńiałych, rzeźb monstualnych w ołtarzach, portretów i tablic nagrobkowych na ścianach. Zmanierowany, podrygujący jakby styl barokowy panuje niepodzielnie.

Po mszy lud zaległ cały cmentarz i wielki plac piaszczysty przed kościołem.

Słońce praży coraz lepiej, ale już dzisiaj niewiele kto zważa na to, tylko śpią, jedzą, odpoczywają w tym piasku pod jego promieniami.

Pochłonałem w straganie za całe dwanaście groszy dwie szklanki czegoś, co nazywano kawą, i myślę o spaniu, ale że się spotkałem z woalami, dałem spokój. Panie zajęły chwilowo kwaterę u lyczka jakiegoś i są zajęte gotowaniem kakao i częściowym wyładunkiem prowiantów.

Jezu!... Nie wiedziałem, że możebnym<sup>90</sup> jest takie uprowadzenie.

Mnie, com oprócz walizki i tego, co na sobie, nic nie miał, zimno się robiło na widok koszów, waliz, tłumoków, jakimi był uprowadzany wóz należący do tych pań. Cały czar by prysnął, gdybym włókł za sobą te masy cywilizowanych uzupełnień. Pomimo tego

<sup>89</sup>ledwiem namówił (daw.) — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika, inaczej: „ledwie namówiłem”. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>możebny (daw.) — możliwy. [przypis edytorski]

kakao piłem z przyjemnością, pierwszy napój od Warszawy o odrębnym smaku i przyrządzony po ludzku.

Potem zjawił się ten seraficzny chłopaczek i chodził z nami.

Melancholia ochrzciła tego chłopaczka mianem brata Serafina, bo nie tylko opowiadał o świętych, o słodyczach zakonnego i kapłańskiego życia, o tych widzeniach świętych, jakie miewał w snach: i zewnętrznością swoją dopełniał słowa. Nosił grzywkę, ogromny różaniec na szyi, brewiarzyk pełen barwnych zakładek pod pachą i miał pełną kieszeń obrazków świętych, modlitw i nowenn, mówił cichym i słodkim głosem ekstatyka, spoglądał w niebo z rozczuleniem i miał uśmiech i pozę świętego młodzianka.

Panie miały humor, choć wyglądały jak z krzyża zdjęte. Przed odejściem powstała ważna kwestia. Wozy i nieznaczna część ludzi miały iść szosą, drogą dłuższą, ale lepszą nieporównanie, a kompania bocznymi przejściami, ale krótszymi — mieliśmy się nazajutrz rano spotkać w Przedborzu. Objasniono mnie, że ta boczna droga jest szkaradna i okolica bez interesu. Panie i ja zdecydowaliśmy się iść za wozami. Serafin nie dał się namówić.

— Tam gdzie krzyż, tam ja idę — powiedział, wznosząc oczy w niebo i poszedł za krzyżem.

Gdyśmy się rozchodzili z braćmi, poczułem jakąś dziwną przykrość i całą drogę brakowało mi bardzo tych śpiewów, tego morza głów i tego prądu, który oddziaływał na mnie i ciągnął; czułem chłód osamotnienia i pustki, pomimo że było nas ze dwieście osób.

Za Żarnowem, świeżo odbudowanym po spaleniu miasteczkiem, zaczęła się okolica coraz górzystsza i lesistsza; droga szła po spadkach, przecinała głębokie doliny i kołowała w różne strony.

Koło Kłomnic kraj jeszcze dzikszyszy, góry tylko zamykają horyzont, mało pól uprawnych, tylko lasy, zarośla, topiele i łąki niskie, pełne łozin i olch, a coraz to wody wielkie, stare szyby górnicze zapadłe i zatopione, drogi wysypane szlaką ostrą jak szkło.

W jakiejś miejscowości, której nazwy nie pamiętam, widzimy coś w rodzaju młyna, tylko zamiast kamieni i zboża olbrzymie młoty, poruszane wodą, przekuwają sztaby surowca rozpalonego. Przed nami z zieleni drzew ostro się rysują wysokie kominy hut.

Potem droga już biegnie rodzajem grobli wyniesionej nieco nad poziom; z lewej strony topiel pełna drzew, sitowia, trzciny i wody pokrytej rdzą zielonąwą, a z prawej łąki przetrzniete siecią rowów obrosłych olszyną i poza tym góry i lasy. Dzikość surowa pięknem jakimś pierwotnym, kipiąca głosami dzikiego ptactwa i szumem tych wód rozlanych szeroko.

Odпочywamy w Kłomnicach, górniczej osadzie.

Z trzech pieców czynny tylko jeden, przetapiający rudę na surowiec. Oglądaliśmy dzięki uprzejmości zarządzającego całą tę manipulację. Wytapiają tylko 100 centnarów surowca na dobę i rudę kupują, bo jak objaśniono, wygodniej ją kupić i taniej wychodzi, płacąc po 20 kopiejek za centnar, niż kopać na gruntach własnych, pomimo że jest i o większej wydajności surowca.

Te zabudowania i piece są jak wyspy na wielkiej przestrzeni wód, trzęsawisk i lasów. Ziemia wszędzie czarna i wszystko, nawet ludzie i rośliny są jakby przesyleni rdzą i tym pyłem ze szlaki. Rozpatrując się po różnych kątach, spostrzegam pod krzewami bżów tego suchotnika; siedzi poowijany, a matka stoi pod krzakami na płocie, rwie bez i rzuca mu okwiecone gałęzie na kolana, co chwila się pytając:

— Antoś, dosyć będzie?

— Jeszcze trochę, mamu! — i przykładła kwiaty z lubością do twarzy.

Zachwyty ma taki w oczach, że się cofam na palcach, aby mu nie przerwać.

Dziwna dusza! ... Długo nie mogę się pozbyć z mózgu widma tej wynędzniałej twarzy, opromienionej szczęściem.

Fale szemrzą mi u stóp tak cicho, takimi seledynowymi koliskami się rozlewają, tak te bzy szeroko wydychają wonią, a ten lekki szum, jakim szemrzą wody i lasy, ma taki dziwny czar, że siedzę nad brzegiem długo i usypiam kołysany ciszą i płynę gdzieś z tymi wodami w ciepłe słońca i spokoju...

Obudzili mnie bracia dopiero, zdążyłem ledwie narwać bzu i znowuśmy ciągnęli dalej. Droga ma tylko nazwę, bo nic z właściwości szosy nie posiada, nawet słupów wiorstowych,

szlaka pod kołami wozów tak skrzypi piekielnie, że uciekam daleko naprzód, aby nie słyszeć.

Mamy z pięć wiorst lasem, pod sam Falków.

W Falkowie jest przepyszna droga wysadzona modrzewiami i kościół bardzo stary i bardzo prosty, zwykły czworobok bez najmniejszych ozdób architektonicznych.

Kilkanaście minut przystanku i dalej.

Przed samym zmrokiem dochodzimy do jakiejś wsi, w której mamy nocować. Dwór daje wszystkim koniom schronienie i nam w części. Idziemy obejrzeć kościół nowy, wystawiony przed kilkunastu laty przez właściciela Kłomnic, Falkowa i wielu innych, pana Jakubowskiego; jest po prostu śliczny. Zaczawszy od ogrodzenia i cmentarza pełnego kwiatów aż do posadzki kościelnej, wszystko znamionuje smak artystyczny.

Pierwszy raz od Warszawy, spałem rozebrany i w łóżku; dano mi taką wspaniałą pierzynę, że utonałem w niej i zasnęłem. Z przykrością się z nią rozstawałem.

I jakeśmy się znowu wszyli w lasy, tak dopiero pod Przedborzem ujrzeli pola.

Okolice bardzo malownicza, tylko ziemia licha i na chłopskich ziemiach znać w obróbce gruntu najbrzydliwszą tandetę. Wszędzie zboża siane pod skibę i choć to najszersze szczyrki i miejscami piaski prawie lotne, pola pokrajane w czteroskibowe zagoniki. Zboża też marne, wsie jakieś poobdzierane, brudne i lud jakiś senny i milczący, a karczem<sup>91</sup> dosyć.

Pod samym Przedborzem zesłaliśmy się z braćmi. Powitaniem nie było końca. I już razem weszliśmy do miasta.

## PRZEDBÓRZ

Bardzo stare, bardzo niechlujne i bardzo żydowskie miasto. Rozłożyło się na stokach kamiennego wzgórza zbiegającego do Pilicy — i siedzi jak przekupka obdarta i brudna. Główny rynek ma bardzo stare, piętrowe domy, ale nic charakterystycznego, chyba trochę arkadowych podziemi i szereg domów, których piętro niezamieszkałe, rozwała się z wolna.

Na placu, przed starożytnym, zielonym od mchów kościołem, tłok okropny, bo prócz naszej jest jeszcze siedem kompanii.

Dalej jak<sup>92</sup> do kruchty kościelnej, nie miałem sił się dotoczyć, ledwie żył. Tę wczorajszą blisko ośmiomilową drogę, czułem dopiero teraz.

Szukam następnie jakiej restauracji — nie ma; znajduję tylko szynk z wymalowanymi na szyldzie szlachcicami i zaproszeniem: — „Wstąp bracie!”

Wstąpiłem.

Iście średniowieczna nora. Ściany całe pokryte scenami pohulańek i zabawy, malunki owe jaskrawe, ale jest szczerść w oddawaniu nastrojów pijackich.

Na jednej ze ścian, siedzi dwóch z waszecia, a pomiędzy nimi wiersz: „Dzień dobry kolego. Każ dać Co Dobrego. Każ Dać, ale Zapłać. Bo kredyt Umarł. Bóg nie Żyje.” itp. i cała ta starannie malowana ścienna poezja, aż się pstrzy od wielkich liter i znaków pisarskich.

Wyszliśmy w południe, w największy upał. Przeszliśmy znowu Pilicę i płyniemy morzem piasków, ale niedługo, bo zaczynają się wzgórza, droga idzie po spiekłej, gliniastej ziemi. Ogromne pola rzepaku kwitnącego ciągną się niby pasy jaskrawo żółtej materii.

Brat Serafin, który idzie z nami, pyta się z naiwnością szczerego warszawiaka:

— Bracie, po co to tyle maku?

Wybuchamy śmiechem, a jakaś siostra ciągnie złośliwie:

— Do kluseczków bracie, do ciasteczków warszawskich.

Seraf się rumieni i przyznaje, że nie jest w stanie nie rozróżnić lodygi kartofli od żyta. Bracia trochę przekpiwają z niego, ale on zaczyna znowu swoją pieśń zwykłą, o kościołach, księżkach i nabożeństwach, więc się skupiają koło niego i idą w milczeniu.

Słońce leje wprost ogień na nasze obnażone głowy.

Bardzo ładną okolicę przechodzimy. Same motywy dla malarzy krajobrazów.

<sup>91</sup>karczem — karczm. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>jak (daw.) — niż. [przypis edytorski]

Góry okrągłe i wyniosłe stoją w jakiejś słonecznej glorii, doliny głębokie przecinają strumienie z daleka błyskające, partie lasów, wsie poprzyczepiane do zboczy wzgórz, folwarki w długich przejściach pomiędzy górami — a wszystko jak morze falujące złotawą zielenią zbóż, pokryte rudawymi plamami świeżo zaoranej ziemi, polami żółtych rzepaków, ścianami białymi chałup i czerwienią cegły zabudowań dworskich. Wszędzie linie łagodne, spadki i wzniesienia spokojne i długie, profile miękkie i opłynięte pyłem słonecznym, i owiane opalowym powietrzem.

A pośród tego przepychu przestrzeni, wiosny i słońca, ten wielki, rozśpiewany tłum ludzi idący z krzyżem na czele wskroś wszystkiego...

Wydaje mi się chwilami, że te śpiewy kształtują się w jakiejś widmowej kontury, jako<sup>93</sup> przezryste cienie ludzi płyną przed nami w złotym świetle dnia, jako nieskończony korowód duchów naszych utkanych z materii promienistej.

## WIELGOMŁYNY

Nazwisko nic nie objaśnia, bo jest tylko jeden, pierwotnie urządzony młynek na strudze ledwie wlekącej się po piasku wody.

Wychodzą po nas ze straszliwie brzęczącą muzyką.

Kościół poklasztorny, przeładowany ozdobami, poczerniały, obwieszony przebutwiałymi obrazami.

W prezbiterium wisi historia malowana św. Stanisława Biskupa, malowana w jednym, perłowym tonie.

Na sklepieniu i ścianach, przez warstwy wapna, przebijają się barwy i kontury fresków. Znać, że tędy przeszedł malarz-odnowiciel.

Rzeźby, wcale nie partenoińskie, ale rodzone siostrzyce potwornych, garncarskich lepiarek, sprzedawanych po wiejskich folwarkach jako zabawki dla chłopskich dzieci.

Niedługośmy odpoczywali i poszli na noc do Silnicy, nazwanej przez braci Macochą, bo chłopci miejscowi niechętnie przyjmują na noc.

Udzielono nam łaskawie kancelarii dworskiej na spanie i pęk słomy.

Panie zajęły pokój, a ja z Serafinem sionkę. Jeść mi się chciało straszliwie, ale jeszcze więcej odpocząć; wkopałem się już w słomę, aż tu słyszę, że ten braciszek półgłosem zaczyna śpiewać godzinki.

Czekam, sądząc, że skończy przecież; skończył, ale zaczyna śpiewać co innego.

Rad nierad wyniosłem się przed dom. Pospuszczane na noc z łańcuchów psy zaczęły docierać zajadłe, że musiałem je kielbasą zjednywać. Ułagodziły się i pokładły spokojnie przy mnie.

Taka cisza niezmierna panowała, tak słowiki śpiewały w gąszczach, bzy tak pachniały i księżyc tak cudnie świecił, że ani myśleć o spaniu.

Psy nawet nie drzemały, połyskiwały żółtawymi ślepiami, warczały głucho a przeciągłe i z podniesionymi łbami leżały przy mnie.

Odeszło gdzieś zmęczenie, ból nóg, głód nawet. Napawałem się tą srebrno-fioletową wonią bzów i czarem nocy majowej. Leżałem bez ruchu całe godziny, na tych trawach opalonych rosą i zalanych światłem księżycy.

Zaczynałem majaczyć na pół sennie: wydało mi się, że te drzewa parku zaczynają drgać, mieszać się, przyoblekać jakby w ciała, że te głębokie przesiane srebrem zaludniają się w widma, te mgły, co puszyły się nad trawami, skręcają się i otaczają te wszystkie cienie w welony powiewające i cała ta rzesza widm, która mi się co chwila rozsypywała i spływała na nowo, miała jakby jedną, w tysiącnych powtórzeniach twarz Melancholii i zaczyna iść, podnosić się niby na wzgórze, schodzić — a te pieśni, com je tyle dni już słuchał, zaczęły mi dzwonić w mózgu i rozbrzmiewać coraz głośniejsz — w ciszy.

Zdawało mi się, że i ja idę, że mijamy jakieś rojowisko zaledwie spostrzeżonych form i barw, słońce to rano, to nad zachodem, i że coraz szybciej płynę, płynę...

Nie miałem sił ni woli wyrwać się spośród tego korowodu mar zmęczonego mózgu.

Koguty zaczęły piąć i świat mętniał; poszedłem do sionki, psy wlokły się za mną, ale nim się ogrzałem w słomie jako tako, trzeba było wstawać i iść — znowu iść.

<sup>93</sup>jako — tu: niczym. [przypis edytorski]

Znowu śpiewy brzmiały, krzyż czerniał na przedzie, a myśmy szli, mijali lasy, przechodzili wsie, łany zbóż, strumienie i parliśmy się jak jaka rozpętana żywiołowa siła do tego punktu przyciągania, co tkwił w każdym mózgu i w każdym sercu rozrastał się coraz potężniej i oddziaływał coraz silniej.

Już nie słychać było gawęd ani żartów. Pieśni śpiewano żarliwiej i liczniej.

Pod każdym krzyżem czołgano się w prochu, całowano nie tylko krzyż, ale i sztachetki ogrodzenia, kamienie, które pod nim leżały.

Ciała znikwały, pozostawały tylko twarze w rysach i wyrazie i oczy coraz więcej płonące gorączką. Milkły indywidualności i zlewały się z sobą. Nie było już znać szlachty, chłopów, mieszczan, kobiet ani mężczyzn, wszystko spływało się w tej jednej rozpalonej do białości fali religijnego uniesienia.

Na odpoczynkach walili się na ziemię jak kłocę drzewa i za pierwszym odgłosem dzwonka, już stali gotowi, już szli i zaczęli śpiewać.

Większość żyje suchym chlebem, który sobie dźwiga na plecach, a nikt nie dba czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał lub zimno — tylko pada, podnosi się i idzie z coraz większym natężeniem.

Notując te słowa, czuję, że w tej samej orbicie krążę, że ulegam przyciąganiu tego samego centrum. Sypiam pod tym dobrym słońcem, jadam, co jest, jeśli jest, idę jak wszyscy, śpiewam, częściej słucham i patrzę. Pytają — odpowiadam. Żądają czego — daję, jeśli mam. Nie jem nic więcej i nie piję nad chleb i herbatę. A nie mam tego, to nie idę już szukać po chałupach, bo wiem, że ta siostra, co obok, ten brat, co przede mną, i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam — pośpieszą mi z kromką w imię braterstwa.

Dalem się porwać strumieniowi i płynę — dokąd?... Nie pytam, bo mi jest dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi. Wchodzę w jakieś ciepłe, mistyczne powinowactwo z tymi duszami, zaczynam czuć tak samo, tj. rzeczy najprostsze. Przyjemność ruchu, oddychanie swobodnie powietrzem czystym, zadowolenie odpoczynku pod gołym niebem, zwierzęcą rozkosz najedzenia się byle czym — i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremoniałów, złocen — i tak samo lży zalewają mi twarz i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża używają w przemowach pewnych pobudliwych wyrażen: „Bóg... kara... cnota... piekło... Amen...” i mówią to patetycznymi głosami.

Zmęczenie i jednostajność odbieranych wrażeń tak maluje moją wrażliwość, że już wielu rzeczy nie mogę sobie uzmysłowić, o wielu zapominam i dla wielu obojętnieję. Tak się zmęczyłem, że jest mi dobrze z tym, iż mnie nikt nie zna i nie pyta o to, że jestem niczym, jednostką, bratem, cyfrą ogólnej liczby pielgrzymów, a nie żadnym panem N lub X, który się nie może pokazać bez maski jakiej takiej, ucywilizowanej braci.

Nie jestem nawet wolą, jestem tylko pewną summą mięśni wprawionych w ruch i zautomatyzowanych, z natężoną ustawicznie czuciowością. Jestem tylko tętnem jednym tego serca, co ma przeszło cztery tysiące głów. Nikt tu nie ma maski nawet imienia.

Kogoż tu można olśnić i czym... wobec hipnozy, jaką wywiera cel podróży? Będę chory, to mnie wsadzą na wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropii nakarmią mnie, zbiorą wytartych groszaków i dadzą — i prosto to zrobią, i szczerze. Umrę — to mi na jakim przydrożnym cmentarzu, gdzie tyle brzoź zielonych, tyle świego tu ptactwa, usypią mogiłę, pokryją darnią, wsadzą wierzbę płaczącą i — pójdą — a o każdej wiosnie, gdy tędy przechodzić będą, rzuca gałąź tarniny lub pęk sasaneł leśnych i będę sobie spał cicho i marzył słodko do nieskończoności, a żył w ich sercach i pamięci dłużej niż tam — na targowicy świata.

I zapominam chwilami kto jestem i wydaje mi się, że zawsze tak żyłem i zawsze żyć będę.

Czyż szczęście nie jest spokojem?... Nie kontemplacją, nie mgłą srebrzystą, w której się z wolna człowiek pogrąża i zapomina o wszystkim i pozwala się obojętnie nieść falom losu, gdzie się im podoba?...

Łapię się na sentymentalizmie i mówię już trzeźwo.

Basta.

Ciało

Ciało, Tłum

Szczęście

Szczęście



## CIEŁĘTNIKI

Mała wioska z kościołem. Odpoczynek. Chleb i mleko wróciły trochę sił, herbata na plebanii — animuszu.

Dokończony kościół czerwieni się i strzela w górę gotykiem. Postawiono go z dwugroszowych składek, jakie niez mordowanie miejscowy proboszcz od lat dwunastu zbiera od pielgrzymujących, bo parafijka uboga i bardzo mała.

Na cmentarzu stoi lipa-olbrzym, kilkusetletnia. Chłopi z jakąś czcią spoglądali na nią i szeptali:

— Loboga! Wielgolud.

Ze starego kościoła przeniesione portrety rycerstwa i matron ładnie ubierają się plebanii. Patrzą dumnie, ci w stal zakuci i te niewiasty w robronach, na stadko kurcząt kąpiących się w piasku i na tłumy rojących się tak swobodnie obok nich.

Wychodzimy o dziesiątej. Słońce praży jak w lipcu.

## DĄBROWA

Prześliczna miejscowość. Kościół ma tyle różnystylowych przystawek, że żadna nie nadaje mu charakteru specjalnego, ale wewnątrz jest bardzo ładny i niezmiernie starannie utrzymany. Rzeźby są nawet znośne.

Pod chórem płaskorzeźby nagrobkowe z XVII i XVIII stulecia, niezmiernie twarde w wyrobie, a na ścianie w bocznej kruchcie napis głoszący, że kościół doprowadzony został do obecnego stanu kosztem rodzin: Scheiblerów i Herbstów, na których intencję prosi się wiernych o zmówienie modlitwy. Na cmentarzu przepyszny trawnik i stacje męki Chrystusowej, bardzo ładne.

Widzę, że przy jakiejś rzeźbie stojącej pod kościołem pełno ludzi. Oglądają ją ze skupieniem pobożnym i mają pewną trwożność w twarzach i przyciszonych głosach.

Oglądam ją. Jest to rzeźba zupełnie charakteru świeckiego z epoki Ludwika XV, sielanka kamienna *à la* Watteau<sup>94</sup>. Jakiś margrabia w koronkach, w stroju paradnym i jakaś dama z włosami spiętrzonymi *à la* Pompadur siedzą na trawie i widocznie szepczą czułościwie i słodkie słówka, flirtują na sposób XVIII wieku. Widać w nich rasę strojnisów znudzonych i wytwornych. Całość banalna jako wyraz i wykonanie i poprzegryzana przez deszcz i mrozy. Kamień się łupie i odpada, w szczelinach bioder rośnie trawa. Skąd się wzięła tutaj ta rzeźba, nikt nie umie objaśnić; objaśnia mnie tylko legenda następująca, słyszana na miejscu od jakiejś siostry:

— To było dawno temu. Miała jedna matka dwoje dzieci, chłopca i dziewczynę, lubiła się ona napijać trochę, z kumami<sup>95</sup> rajcować<sup>96</sup>, po sąsiadkach chodzić, a dzieciśka co chciały, to robiły — i że były rozpustne i szkodniki, nie dziwota przy takiej matce. Raz napiła się lepiej, przylata do chałupy — dzieci nie ma; w porę pacirzy<sup>97</sup> przychodzą, a że pijany człowiek je przez<sup>98</sup> rozumu i una się rozeźliła<sup>99</sup> kiej<sup>100</sup> suka, za kijanek<sup>101</sup> wzięta i prac dzieci — sprząła dziewczuchę, że ino zipała — i do chłopaka. Chłopak nie doł się, za ożóg<sup>102</sup> chycił i w łeb matkę. Rozwścieklila się barzej<sup>103</sup>, jak nie trzosnie<sup>104</sup> go bez pysk, a chłopak ino fajt<sup>105</sup>. Kobitę już całkiem rozebrała gorzałka, że się siadła i lamentuje, i wyrzeka: — „A bodajsta<sup>106</sup> pozdychały, a bodajsta skaminiały — kiejsta takie!...” Ino to rzekła, aż widzi, co dzieci, co się do siebie tuliły i chlipyły z bolenia — czernieją jakoś

<sup>94</sup>Watteau, Antoine (1734–1784) — francuski malarz, prekursor i czołowy przedstawiciel francuskiego rokoka. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>kuma (daw., pot.) — przyjaciółka. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>rajcować (daw.) — plotkować. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>pacirz (gw.) — pacierz. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>przez (gw.) — bez. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>rozeźlić (gw.) — rozgniewać się. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>kiej (gw.) — jak. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>kijanek (gw.) — kij. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>ożóg — pogrzebacz, kij do poprawiania ognia w piecu. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>barzej (gw.) — bardziej. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>trzosnąć (gw.) — uderzyć. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>fajt — wykrzyknienie oznaczające nagły upadek. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>bodajsta (gw.) — bodajście; bodaj byście. [przypis edytorski]

i siedzą kiej zdrętwiałe, ślipki<sup>107</sup> stanęły im kołem, a lzy kiej te perły toczą się po półkach<sup>108</sup>. Kobitę strach otrzeźwił, skoczyła do nich, a dzieci już zimne kiej kamienie, a ino tymi ozwartymi<sup>109</sup> oczyma lzy się leją i leją. Narobiła lamentu, zesłi się ludzie, przyszedł i ksiądz, przywieźli potem znajęcego, co umiał odżegnawać i nic. Dzieci skaminiały. Nie pogrzeźli<sup>110</sup> ich, bo jak tu grześć w zimi<sup>111</sup> kaminie, co cięgiem płaczą?... Postawili pod kościołem. Matka aż się prula z żalości, nie jadła, nie spała, ino siedziała dniami i nocami, a czekała rychło się te kochane odmienia. Przeszły lata — nic. Co się wymodliła, co wyplakała, co mszy kupiła na te intencje!.. Prosiła się już Pana Boga o śmierć, ale śmierć nie przychodziła. Poszła jednego razu na rękach i kolanach do Częstochowy i tak prosiła, że Matka Boska ulitowała się i przemieniła ją na brzózkę, co zaraz wyrosła w tym dołku, przemiękłym od płakania dziecińskiego, żeby mogła przy nich być cięgiem<sup>112</sup> i choć gałązkami słońc od słońca i plusku<sup>113</sup>, a potem lzy się przestały lać i brzózka uschła. Pan Jezus wine przekleństwa darował i wzion ją do swoi chwały razem z dziećmi...

## ŚW. ANNA POD PRZYROWEM

Sześć wiorst od Dąbrowy przeszliśmy bardzo prędko, bo drogą, lasem i łąkami, obsadzoną po obu stronach drzewami.

Przed kościołem ścisk i ruch ogromny, bo zaraz za nami nadciągnęła kompania łowicka i z innych stron było już kilka. Łowiczaki lud rosły i piękny, znać w twarzach i ubraniach zamożność dawną. Kostiumy mają wspaniałe. Kobiety, zupełnie ładne, pstrzą się między naszą szarzyzną niby maki, całe pąsowo ubrane, wszystkie w trzewikach sznurowanych czerwonymi tasemkami, koralach i z chustkami białymi w rękę. Mężczyźni w spodniach czerwonych, w pasy poprzeczne białe, żółte i zielone. Kapotki granatowe obwiedzione sznurkami czerwonymi, kapelusze śpiczaste, czerwone wstążeczki u koszul.

Kościół duży i ładny. Kaplica św. Anny śliczna, utrzymana wewnątrz w najczystszy barokowym stylu. Wielki ołtarz wspaniały.

Wewnątrz klasztoru iść nie można, bo go zamieszkuje jeszcze 10 siostr ze zgromadzenia panien dominikanek.

Wychodzimy o trzeciej po południu i mamy jeszcze zrobić do noclegu 31 wiorst, do Mstowa.

Ten przedostatni dzień czują wszyscy ogromnie.

Ołówka trzymać nie mogę w rękę, bo gdy tylko usiądę, sen mnie łapie nieprzeparcie, a jeśli nie, to czuję się tak rozbitym, tak zmieszonym wewnątrz, że nie mogę wyciągnąć z siebie ani jednej myśli, ani zdania lub obrazu. Spałbym tylko.

Zaczynamy owe 31 wiorst olbrzymią, topolową aleją, w połowie wyrwaną i leżącą na ziemi. Burza tędy przeszła i rozrzuciła jak szczapy te olbrzymy. Potem las jakiś, piaski, wsie, pustki i znowu *da capo*<sup>114</sup> to samo.

Choć nas trzymają te śpiewy gromady, zawsze jednakowo drzemiące — i ciągnie tu jakaś siła wprost<sup>115</sup> rozpędu — pozostajemy za kompanią coraz dalej.

Przez jakąś godzinę widzimy ją jeszcze, mający nam tylko, bo idziemy na pół przytomni.

Woale zacinają usta i zdają się spojrzzeniami przyczepiać do tych coraz odleglejszych sylwetek i wlec się ostatkami nerwów.

Dogoniła nas łowicka, potem przeszła zwolińska — i długo niby chmura granatowa wisi przed nami i znika. Nadpłynęła ciepiewowska i jeszcze kilka drobnych i przepłynęły, a myśmy się wlekli jak osad tego ludzkiego potoku, co z taką siłą płynął naprzód.

Wydało mi się, że coraz to pogrążamy się głębiej w jakiejś szarzyźnie, spychani przez mocniejszych.

<sup>107</sup>ślipki — oczy. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>półiki (gw.) — policzki. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>ozwarti (gw.) — rozwarti. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>pogrzeźć a. pogrześć (daw., gw.) — pogrzebać, pochować. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>zimia (gw.) — ziemia. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>cięgiem (gw.) — ciągle. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>plusk — tu: deszcz. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>da capo (wl.) — od początku. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>wprost — tu: wręcz. [przypis edytorski]

Zaraz za lasem pytamy: „jak daleko do Mstowa?”. Powiadają, że sześć wiorst.

Uszliśmy ze sześć i pytamy znowu; mówią, że będzie osiem. Więc się już nie pytamy nikogo więcej. Spotykamy w jakiejś wsi ludnej Łowiczaków, już porozkładanych na nocleg. Jedna z kobiet siedzących przy drodze radzi Melancholii:

— Niech siostra zezują<sup>116</sup> te tryпки<sup>117</sup> i boso pójdą, będzie lekcij<sup>118</sup>.

— I uny same już złażą!... — dorzuca chłop jakiś, widząc strzępy tych pantofli.

Nie gniewa już śmiech, jakim wybuchają, wchodzimy za wsią w step jakiś pełen piasków i kamieni.

Wiatr się zerwał ogromny i tym lotnym piaskiem bił nam w twarz.

Noc zapadała, ale jakaś brudna, a te nagie, pozbawione roślinności wzgórze kamieniste i pustka wrzały smutkiem.

Nie było gwiazd ani księżyc, tylko ten odmęt szarzyzny skłębionej dokoła.

Druty telegraficzne, targane wicherem, jęczały żałośnie nad nami.

Milczeliśmy — idąc w wyczerpaniu ostatecznym.

Nie spotykaliśmy ani wsi, ani ludzi. Czasami się nam wydawało, że z wichrem nadlatują echa śpiewów, że już widzimy światełka siedzib ludzkich, że dostrzegamy sylwetki braci. Nic z tego nie było. Wiatr tylko prześwistywał, pędził obłoki kurzawy i kuropatwy zwoływały się po polach.

Nogi miałem pokaleczone, a tu co krok stos drobnych a ostrych kamieni i ta pustka bez końca, i wściekłość niema wobec własnej niemocy fizycznej, ten ból bezsilny, że sobie ani Melancholii, która się chyliła jak kłosa dojrzała, coraz niżej, pomóc nie mogłem.

Nareszcie dochodzimy do młyna jakiegoś; stąd jeszcze dwie wiorsty.

— Dojdziemy — mówi cicho, a ja czuję w jej głosie akcent zdeterminowania spokojnego.

Serafin już się głośno modli jakimś niezmiernie łzawym i bezsilnym głosem, ale idziemy, wlecemy się po tych kamieniach i dochodzimy do klasztoru, gdzie już miała być matka i reszta towarzystwa.

W labiryncie korytarzy zapchanych literalnie ludźmi ani sposobów odszukać.

Śpią wszędzie; jak kto przyszedł, tak się rzucił i śpi: na schodach, cmentarzu, nawet przy drodze i w rowach pełno ludzi.

Nic — już dzisiaj nikt nie śpiewa, widać śpiących z otwartą książką na kolanach, z ostatnim niemal słowem pacierza na ustach; niektórzy trzymają w obu rękach różaniec i śpią, siedzą pod płotami z chlebami napoczętymi, z tobołkami rozwiązanymi i tylko chrapanie mówi, że wszyscy śpią.

Na deszcz się zbiera, bo chmury się spiętrzają i wloką ociężałe, a nagła cisza powiewa.

Idę do księżej gospodyni prosić choćby o kawałek podłogi, byle pod dachem.

— Nie ma miejsca.

Służąca powiada jej cicho o jakimś próżnym pokoju.

— Ale!... Zaraz!... Tam bielizna rozwieszona, trzeba by policzyć, a ja czasu nie mam, a zresztą, skoro się państwo ofiarowało do Częstochowy iść, to można spać na dworze — ojej! — i uśmiech ironiczny wykrzywia jej twarz.

Spotkaliśmy wreszcie swoich. Nocleg jest w ciupce, gdzie już ze trzydzieści osób śpi.

Tak było obszernie, że jeśli znalazło się miejsce na głowę, to nóg nie było gdzie pomieścić.

Słyszę jak Serafin obiecuje jakiejś siostrze obrazki, modlitwy, wreszcie pieniądze, byle się choć trochę usunęła, ale wszystko bez skutku. Powietrze jest tego rodzaju w izbie, że bezpieczniej noc kończyć pod wozem na rynku.

Ostatni dzień!... Znać to na wszystkich twarzach.

Gdyśmy przeciągali przez puste uliczki owego Mstowa, tom w tym brzasku porannym spostrzegł na bruku krwawe plamy: to ci, którzy idą przed nami i śpiewają, znaczą bosymi nogami bruk.

<sup>116</sup>zezuc (gw.) — zdjąć buty. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>tryпки (gw.) — treпки; lekkie buty. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>lekcij (gw.) — lżej. [przypis edytorski]

Wychodzimy na jakieś prawdziwie górskie drożynki. Słońce wschodzi, ale tonie natchmiasz we mgle i tylko je lekko zapurpurza. Ścieżki są strome i pełne ostrych kamieni. Okolica górzysta, widać nad mgłami łyse szczyty.

Idziemy tak prędko, że wszystkie piersi rżęzą, a na każdym szczycie i wyniosłości wszystkie oczy zanurzają się we mgle; niespokojne, gorące spojrzenia szukają w tumanach szarawych konturów wieży Częstochowskiej.

Przystają i z wyciągniętymi głowami stoją chwilę... Nic nie widać, cały świat zdaje się być zatopiony w tej ruchomej masie.

Naraz, jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie...

Słońce podniosło się ponad mgły i w dali, wprost nas zarysował się cień niby majak wyniosły i zapadł, bo mgły jakby uderzone siłą światła zakłębiły się i jak puchy wyległy rozstrzępione, zakrywając wszystko.

Niby jęk zawodu zaszemrał i z wolna jakby się zawiązała cicha i zawzięta walka pomiędzy tłumem a mgłami.

Rozpalone spojrzenia o krwawym blasku zmęczenia, tętna serc przyspieszone, wszystkie czucia spotęgowane, wszystkie głosy o chrapliwym z natężenia brzmieniu, łączyły się i płynęły strumieniem ognia, wszczały się w te mgły i jakby je wypijały, że stawała się coraz rzadszą.

Ten dreszcz przenikający co chwila, tak oślepił i obezprzytomniał, że darli się wprost naprzód.

Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew płynącą z nóg, znajdowali siłę w tej bliskości celu.

Na Przeprosnej Górze zatrzymaliśmy się.

Bracia niektórzy wystąpili z ostatnimi przemowami. Zaczęły się szepty oczyszczających jednych przed drugimi. Głos przemowy brzmiał głucho w mgle, ale nikt prawie nie słuchał. Wszyscy mieli uszy, oczy i serca gdzie indziej.

Zbiegaliśmy prawie z tego stromego bardzo wzgórza i znowu ten dreszcz denerwujący...

Słońce podniosło się i ten majak wieży, odbicie pewnie, jakby się oderwał od podstaw i unosił przez chwilę nad oparami i chwiał, połyskując szczytami, aż go nowa i ostatnia fala mgieł przysłoniła.

Stanęliśmy wreszcie na ostatnim wzgórzu i stali przez mgnienie wpatrzeni, jak te tumany ściągały się jakimiś warstwami, jak szły skłębione i podarte w górę, aż przestrzeń czysta została, i wszystkie oczy uderzyły się o tę górę z wieżą na szczycie.

— Maryjo! — buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysiące ciał runęły na ziemi z krzykiem radości. Widok ten niby orkan rzucił te wszystkie głowy w proch.

— Matko! — wołały głosy zduszone radością i uniesieniem i zaczęły łzy płynąć rozradowania, a oczy promienieć miłością; wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym.

I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapał wszystkich w jedną bryłę drgającą w łkaniu, w czucie jedno, wyrwał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia, wszystkie twarde nędze, wszystko, co przecierpieli, i płynął do stóp tej, którą każde serce widziało, do stóp Dobra i Pocieszenia.

I ta głęboka, boska po prostu, przez moc swoją rytmika płaczów, próśb i entuzjazmu długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przepalała je niby wicher ognisty i przekuwała dusze na inną miarę.

Popowstawali i wszystkie twarze rozsloneczniły się nagle, spotężniały w wyrazie.

Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechami na chudych twarzach pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu tryumfalne, szerokie jak świat, dzwoniły niby spiż serc i biły nad ziemią pełną wiosny i słońca.

Po przemowie jednego z księży paulinów weszliśmy do jasnogórskiego kościoła.

Tutaj — nie jestem w stanie dać nic — com uczuł sam, zostawiam dla siebie.

\*

Spałem szesnaście godzin bez przebudzenia.

I kiedym już umyty, przebrany i przeobuty wyszedł i zobaczył wszystkich braci i ten

Wiara

Rozstanie

ustawiczny przyływ ludzi, to mnie jakiś żal ogarnął, że się ta wędrówka skończyła, że rozlecimy się wszyscy jak liście jesienią, aby się już nie zejść nigdy; żal rósł i niechęć do powrotu w jarzmo szarego życia, w ten codzienny kierat życia miejskiego i cywilizowanego.

Musiałem znowu stanąć w szeregu ponumerowanym i poznaczonym nazwiskami. Musiałem znowu zostać „panem” i uważać, czy nie nastąpię na jakie wielmożne, tradycyjne lub uświęcone zwyczajem odciski, i kapelusz mieć w ręku, a maskę na twarzy!

W niedzielę, w półcieniu chóru zakonnego, spostrzegłem Melancholię; klęczała zatopiona w modlitwie. Czarny strój rzucał jakiś surowy cień na jej twarz piękną i smutną. Błękitnawe oczy miały głębię, pełną cichości i dobra, łzy toczyły się po bladej twarzy i usta coś szeptały gorąco; za nią leżały setki rozkrzyżowanych na posadzce ludzi z takim samym płaczem, a na dole, gdzie się roił niby mrowisko tłum pstry, jęczały także dusze i prosiły łzami.

Zwiedzaliśmy później wszyscy razem klasztor. Słoneczne to chwile.

W poniedziałek mieliśmy wyjechać. Wstałem wcześniej i poszedłem zobaczyć mszę w kaplicy Matki Boskiej i chwilę odsłonięcia cudownego obrazu.

Ścisk był niewypowiedziany, ludzie tak się zwarli, że rozczepić się im trudno; co chwila wynoszono pogniecionych i omdlałych.

Zaczęła się msza.

Ciche tony fletów wibracją spiralną i jakby złotawą wlewały się w ciszę i niby lśniąca siatką osnuwały dusze, potem skrzypce przenikające głosy podnosiły w śpiewie pełnym uczucia i rozpylały się jak woń róż, a organy brzmiały cicho i daleko niby szum morza, które z wolna bije i przelewa się przez brzegi, a potem burzy się głucho, potężnie w sile, huczy burzą, miota i wybucha piorunami, które trąby mosiężne rzucają z przeraźliwością, i robi się chaos jakiejś rozpaczki bezbrzeżnej, która szaleje, łka i prosi — aż flety, niby chór anielski, odzywają się w pianach i śpiew rzewny, słodki wlewa się szeroką gamą i uspokaja odměty, i płynie pod stropem kaplicy jak pocieszenie, przenika dusze rozrzewnieniem i kołysze je słowami łaski — i milknie w nagłej, chwilowej ciszy Podniesienia, przerywanej tylko ostrym, niby stalowymi blaskami, dźwiękiem dzwonek.

Naraz, ze wszystkich instrumentów bije pieśń, ze wszystkich serc zrywa się huragan krzyków i westchnień i wszystko to skłębione, zmięte, unicestwione pada w proch przed odsłoniętym obrazem Matki Bożej, a przez ten mur ciał przeciska się jakaś dziewczyna podtrzymywana przez matkę — idzie o kuli, oczy ma zwarte, wyciąga ręce do obrazu i głosem wielkim, potężnym niewysłowionym brzmieniem wiary, woła:

— Maryjo, uzdrów mnie!.. Maryjo, uzdrów mnie!..

I pada na ziemię jak drzewo podcięte, lecz zrywa się i już bez kul, wyprostowana, jaśniejąca, woła:

— Maryjo! Widzę! — Maryjo! Idę!...

I szła ku ołtarzowi, a burza ryku prawie nieludzkiego zerwała się ze wszystkich serc i biła do stóp Tej z taką miłością patrzącej.

A dziewczyna szła, podrywając się jak ptak do odlotu, i z uśmiechem niewypowiedzianej podziękującej, z oczyma jak chabry błękitnymi, z rękoma wyciągniętymi, dyszała dziękczynieniem pełnym radości, łez, olśnienia.

— Maryjo! Maryjo! — i padła w proch, objęła rękoma kamienie i bladymi ustami przywarła się do nich, pod stopami Tej, co tam ze spokojem i słodyczą siedziała z Jezusem na ręku i jak matka pełna była pobożności i miłości.

A lud cały w jękach, w skowycie leżał i łzami serc, mózgami, krwią, miłością — sławił dobroć i żebrał zmiłowania.

Kościół zdawał się otwierać z wierzchu, aby przepuścić tłumy dusz, które się rwały w modlitwie w nieskończoność, a wysoko jakby się rozwiewał płaszcz błękitny i ogarniał wszystkich, a jakieś ręce białe i oczy promienne błogosławiły, kołysały, uspakajały, krzepiły serca, dawały zapomnienie i moc wytrwania.

A te rzesze ludzkie coraz więcej zatapiały się w szlochaniu i zdawały się odpływać w zaświaty na fali muzyki, która jak Archanioł Pocieszenia, szła naprzód i niosła wszystkie dusze tam — skąd wyszły: do źródła dobra i szczęśliwości...

Maska, Gra

Wolbórka, 3 maja 1894 r.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/reymont-pielgrzymka-do-jasnej-gory/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Reymont, *Pielgrzymka do Jasnej Góry*. Wrażenia i obrazy, Gebethner i Wolff, Warszawa 1895.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Ilona Kalamon, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6628-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).